

**KORCZAK**  
**JANUSZ**

KAJTUŚ  
CZARODZIEJ

# Korczak Janusz

## Kajtuś Czarodziej

[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=23539930](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23539930)

*Kajtuś Czarodziej:*

### Аннотация

Powieść dla dzieci autorstwa Janusza Korczaka, wydana po raz pierwszy w roku 1934, za pieniądze autora. Opowiada historię kilkuletniego chłopca, który zdołał wyćwiczyć w sobie umiejętność czarowania. Poza tym pozostaje jednak zwykłym dzieckiem, a swoje zdolności wykorzystuje głównie do psocenia i siania zamętu najpierw w szkole, a potem w całej Warszawie. Wkrótce musi stawić czoła konsekwencjom swoich działań: gdy dla odmiany postanowił zrobić coś pożytecznego i stworzył pałac na wiślanej wyspie, został zaatakowany przez wojsko jako osoba niebezpieczna dla porządku w kraju. W ten sposób zaczął się dla Kajtusia okres podróży zagranicznych, stanowiących zarazem jego drogę do dojrzałości. Kim nasz bohater zostanie u jej końca?

# Содержание

Rozdział pierwszy	4
Rozdział drugi	22
Rozdział trzeci	36
Rozdział czwarty	50
Rozdział piąty	68
Rozdział szósty	84
Конец ознакомительного фрагмента.	95

# Janusz Korczak

## Kajtuś Czarodziej

### Rozdział pierwszy

Kajtuś lubi się zakładać – Kajtuś wchodzi do sklepów i udaje, że chce coś kupić, a nie ma ani grosza

– A bo co?

– Bo nic.

– Nie wierzysz?

– Nie.

– To się załóż.

Kajtuś lubi się zakładać z kolegami.

– Załóż się, że zafundujesz do kina.

– Dobrze, zgoda.

– Daj rękę. Pamiętaj: w niedzielę kino.

– Ale poczekaj – zaraz.

– No widzisz, już się boisz.

– Nie boję się, tylko chcę wiedzieć, jak to będzie.

Kajtuś powtarza:

– Wejdę do dziesięciu sklepów. Będę udawał, że chcę coś kupić. Nie mam ani grosza w kieszeni.

– Mówiłeś, że do dwunastu sklepów...

– Niech będzie dwanaście.

Założyli się.

Tak. Wstąpi. Niby, że kupuje.

Ano, ostatnia lekcja.

Ano, ostatni dzwonek.

Zapakowali teczki.

Czapki na głowy.

– Więc idziemy?

– Idziemy.

Ano, schody, podwórko.

Potem brama.

I już ulica.

– Ja będę stał przed sklepem.

– Jak sobie chcesz. Tylko nie śmieć się w szybę, bo się domyślą.

Pierwszy sklep – apteka.

Wchodzi Kajtuś do apteki.

Pan wydaje lekarstwa powoli, żeby się nie pomylić – Kajtuś cierpliwie czeka swej kolejki.

– A tobie, mały, czego?

– Proszę o dwa zeszyty: jeden w kratkę, a drugi do rysunków.

– Nie mamy do rysunków, tylko wszystkie w kratkę – zażartował pan aptekarz.

– To przepraszam.

Kajtuś ukłonił się grzecznie.

Żał się panom zrobiło.

– Idź na prawo, obok. Tam dostaniesz.

– Dziękuję.

Znów się uklonił i wyszedł.

Powiedział koledze, jak było.

Obok apteki jest sklep pomocy szkolnych.

Wchodzi Kajtuś.

Rozgląda się.

– Proszę o ciastko z kremem.

– Czego?

– Ciastko czekoladowe z kremem.

– A ty ślepy jesteś? Nie widzisz?

– Owszem, widzę.

Stoi i dziwi się, czego od niego chcą.

– Chodzisz do szkoły?

– Chodzę.

– Nie wiesz, gdzie się ciastka kupuje?

– Jeszcze nas nie uczyli.

Wzrusza ramionami.

Niby nie wie, co robić.

Rozgniewał się pan.

– Na co czekasz?

– Już nic.

I wychodzi.

– No co? – pyta się kolega.

– Obraził się. Złośnik jakiś.

– On taki zawsze – mówi kolega. – Znam ten sklep. Nigdy tu nie kupuję.

– To trzeba było powiedzieć.

– Myślałem, że ci się uda.

– No i udało się. Przecież mnie nie zabił.

Idą dalej.

Odważnie wchodzi do trzeciego sklepu.

Sklep spożywczy. Są tu sery, masło, cukier, śledzie, sielawy<sup>1</sup>.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry.

– Czy można dostać wieloryba?

– Wieloryba?

– Tak. Dziesięć deka. Marynowanego.

– A kto cię przysłał?

– Kolega. O, stoi tu przed sklepem.

– Powiedz koledze, że łobuz, a ty gapa.

– Więc nie ma?

– Nie, nie ma. Będzie dopiero.

– Kiedy będzie?

– Jak się ociepli. No, dosyć. Ruszaj! Drzwi zamknij.

Ostrożnie zamknął drzwi i opowiada, jak było.

– Nie bałeś się, że pozna?

---

<sup>1</sup> *sielawa* – bardzo smaczna, wysoko ceniona ryba z rodziny łososiowatych, żyjąca w czystych, głębokich jeziorach. [przypis edytorski]

– A co? Sprzedają morskie łososie. Śledzie też są morskie.

Nie wolno się zapytać?

– Czekaj. Dopiero trzy sklepy. Możesz jeszcze przegrać.

– Zobaczymy.

Czwarty – mały sklepik.

Szewc.

Akurat nie ma roboty.

Już pora obiadowa, a sprzedał dopiero parę sznurowadeł i pudełko pasty do butów.

Czeka, żeby kto kupił.

Wchodzi Kajtuś.

– Proszę sera śmietankowego.

A szewc, czy się domyślił, że żarty, czy zły, że głowę zawracają.

Łap za pasek.

– Dam ja ci sera, błażnie jeden!

Zamachnął się.

Nie bardzo się udało, trzeba było prędko umykać.

Ominął Kajtuś kilka małych sklepów.

Zatrzymał się przed fryzjerem i myśli.

– Ale ty ciągle to samo. To nie sztuka.

– Nie podoba ci się, to nie. Sam sobie chodź i wymyślaj co innego.

– No już dobrze. A tu co powiesz?

– Nie spiesz się. Poczekaj. Zobaczę.

Wchodzi.

Ładnie tu. Czysto. Pachnie.

Perfumy w różnych butelkach. Mydła kolorowe. Grzebienie.

Pomady<sup>2</sup>. Puder.

Kasjerka czyta książkę.

– Czego sobie życzysz, kawalerze? – pyta się pan.

Pan młody i wesoły.

– Proszę o pomadę na porost królewskich wąsów.

– Dla kogo?

– Dla mnie.

Pani przerywa czytanie i patrzy.

Pan oczy szeroko otworzył.

– A na co ci wąsy?

Kajtuś patrzy naiwnie i mówi:

– Na przedstawienie w szkole.

– A co będziesz przedstawiał?

– Króla Sobieskiego<sup>3</sup>.

– Mogę namalować ci wąsy.

– Ja wolę prawdziwe.

– A potem co zrobisz po przedstawieniu?

– A ogolę.

---

<sup>2</sup> *pomada* – środek kosmetyczny do smarowania włosów dla nadania im połysku i miękkości. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *Jan III Sobieski* (1629–1696) – król Polski w latach 1674–1696, pokonał armię turecką w bitwie pod Wiedniem (1683). [przypis edytorski]

Śmieją się.

Uwierzyli.

– Niech mu pan da wody kolońskiej.

– Nie chcę – otrząsa się Kajtuś.

– Dlaczego nie? Będziesz pachniał.

– Nie chcę. Chłopaki śmiać się będą. Powiedzą, że się chcę żenić.

– A ty się nie chcesz żenić?

– Pewnie, że nie. Na co?

Nudzi się młodym w sklepie, więc radzi pozartować.

Ale weszła kupująca. Rozmowę przerwała.

– Przyjdź, to cię pomaluję. Będą jak prawdziwe.

– Ale zaprosisz nas na przedstawienie? Pamiętaj.

Kolega się niecierpliwi.

– Coś tak długo siedział?

– Perfumować mnie chcieli.

– Za darmo?

– No chyba.

– Dlaczego nie dałeś?

– Co mają towar marnować? Pozartować można. Ale nie jestem pętakiem. Nie lubię oszukańców<sup>4</sup>.

– No pewnie.

Wszedł Kajtuś do mydlarni<sup>5</sup>. Prosi o truciznę na pchły.

---

<sup>4</sup> *oszukaniec* (pot.) – człowiek, który oszukuje; oszust. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *mydlarnia* (daw.) – sklep z kosmetykami i artykułami używanymi w gospodarstwie

Dała mu.

– Masz na pchły, na pluskwy i na karaluchy.

– U nas nie ma pluskiew ani karaluchów. Mama kazała tylko na pchły.

– Nie szkodzi. Ten proszek dobry, wszyscy go kupują. Pokaż, ile masz pieniędzy.

Kajtuś mocno zaciska pustą pięść.

– Nie... Muszę się zapytać... Muszę się słuchać mamy.

– No to idź się zapytaj. I powiedz, że złotówkę kosztuje. A wy daleko mieszkacie?

– Tu zaraz.

– Jak będziesz często kupował, dostaniesz cukierków... O, widzisz.

– Widzę.

Pokazała słoje z cukierkami.

– Mądra baba: dawaj jej zaraz złotówkę! Myśli, że się połakomię na cukierek. Pewnie farbowane. Ile już było sklepów?

– Sześć.

– Akurat połowa.

– No, idziemy dalej.

– Czego się spieszysz? Niech trochę odpoczne. Już mi się w głowie kręci.

Ale nic. Wchodzi.

Siódmy sklep – ogrodnicy.

– Czy można dostać palmę kokosową?

– Nie ma.

– Niech pani poszuka. Pan od przyrody kazał.

– Więc powiedz panu od przyrody, że ma fiołki w głowie.

– Wcale nie. Nasz pan wie, co mówi. Nieładnie tak uczyć

dzieci. Nie wolno nauczyciela obrażać.

– Wynoś się, smarkaczu! Morały mi będzie prawić.

– Pewnie, że morały, bo się tak nie mówi.

We drzwiach pokazał jej język.

– Szkoda, że nie dodałem, żeby się kazała wypchać trocinami

i wytapetować.

– Czegoś taki zły?

– Bo mi się już znudziło tak łązić.

– Trudno, założyłeś się.

– Wiem bez ciebie. Zacząłem i skończę.

Przed sklepikiem stoi balon z wodą sodową<sup>6</sup>.

– Proszę o szklankę gazu.

Kupcowa<sup>7</sup> nalała – podaje.

A Kajtuś:

– Nie chcę wody, tylko sodowy gaz.

Znów zrobił niewinną minkę. Ale ona nawet nie patrzy.

Zamachnęła się i chlusnęła wodą.

---

<sup>6</sup> *balon z wodą sodową* – dawniej większe ilości wody sodowej, czyli wody gazowanej, przechowywano w dużych cylindrycznych syfonach (balonach) z miedzi; taki syfon umieszczano w pojemniku z lodem i sprzedawano klientom na ulicy wodę na szklanki. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *kupcowa* (daw.) – tu: sprzedawczyni. [przypis edytorski]

Kajtuś się w porę nachylił.

Nie trafiła.

– Żebyś ręce i nogi połamał, złodzieju!

Nie jest Kajtuś pętakiem ani złodziejem. Przecież mógł wodę wypić i uciec. A pić mu się chciało.

– Sama oszukanica.

I na nią zły, i na siebie.

I na kolegę.

– Te, słuchaj – pyta się kolega – co znaczy: fiołki w głowie?

– Pewnie, że nie wie, co gada. Sam się możesz domyślić.

Zatrzymali się przed fotografem.

– Wejdę z tobą.

– Jak sobie chcesz.

Wchodzą.

– Ile kosztuje pół tuzina gołębi?

– Jakich wam znowu gołębi?

– Poczтовых, gabinetowych. Będziemy trzymali gołębie na kolanach.

– A pieniądze macie?

– Jeszcze nie. Ale się postaramy.

– Naprzód się postarajcie, a potem przyjdziecie.

– Co pani z nimi gada? – wtrącił się pan w okularach. – Tu się tylko ludzi fotografuje. I osły.

Wychodzą.

Kajtuś milczy.

Przypomina sobie:

„Ten nazwał mnie osłem, tamten smarkaczem. Ta wodą oblewa, tamten zerwał się do bicia. A dlaczego? Bo nie mam pieniędzy. Gdyby tak mieć złotówkę, wszyscy byliby grzeczni. I do kina wpuszczą. I wodę dadzą – nie tylko czystą, ale z sokiem”.

– Ile już było sklepów?

– Osiem.

– Nieprawda, bo dziewięć.

– Może się pomyliłem.

Zaczęli liczyć: razem z przekupką – dziewięć.

– No jazda!

Do następnego sklepu znów weszli razem.

– Proszę pokazać pasek.

Patrzy, przekłada, przymierza. Ogląda klamrę. Liczy dziurki. Chucha, wyciera. Grymasi.

Ten pasek za cienki, ten za ciemny, tamten za szeroki.

A panienka co jeden położy, to drugi zaraz chowa do pudła.

„Boi się, że ukradnę” – pomyślał Kajtuś.

Nic dziwnego. Różni się w sklepach kręcą. Przychodzą – nudzą – nie kupują. I naprawdę ukraść próbują.

Kajtuś wie, ale się gniewa, że podejrzewają.

A o koledze myśli:

„Jaki on teraz odważny. Wchodzi ze mną razem, a gęby nie umie otworzyć”.

Ano, wybrał pasek: ładny skautowski<sup>8</sup>.

– Ile kosztuje?

– Dwa złote pięćdziesiąt groszy.

– Za drogo.

– Ile kawaler myślał?

– Kolega kupił taki za czterdzieści groszy.

– To idź tam, gdzie kupił kolega.

– Dobrze, pójdziemy.

– Znaleźli się mądrale. Jeden wybiera, a drugi się rozgląda.

Znamy was.

– I ja panią znam.

Nawymyślała i przegoniła.

– A co byś zrobił, gdyby oddała?

– Głupi jesteś.

Kajtuś wie, co by zrobił. Szukałby po kieszeniach, niby że zgubił pieniądze.

Ale mówić nie chce, niech się sam domyśli.

– Więc jutro fundujesz kino.

Zatrzymał się i czeka na odpowiedź.

Kolega się zawahał.

– Poproszę ojca, pewnie da.

– A jak nie da?

– To już na pewno w przyszłą niedzielę.

Kajtuś skrzywił się i machnął niechętnie ręką. Pomyślał:

---

<sup>8</sup> *skautowski* – przym. od *skaut*: członek organizacji stanowiącej odpowiednik harcerstwa. [przypis edytorski]

„Ot, zakładaj się z takim szczeniakiem...”

W sklepie z papierosami pożałowali Kajtusia.

Stał nieśmiało w kącie i czapkę gryzie.

– Czego chcesz, mały?

– Kiedy się wstydzę.

– Mów, nic ci nie zrobię.

– Bo majster kazał kupić trzy papierosy.

– Jakie?

– Brzydko się nazywają.

– Gadaj śmiało.

– Powiedział, że nabije<sup>9</sup>, jak nie przyniosę.

– Więc powiedz.

– „Psia mordą” się nazywają.

I zakrył czapką oczy.

– Upił się twój majster. Niech się wyśpi.

– Właśnie się już obudził.

– Ty ze wsi? – zapytała się pani.

– A ze wsi, proszę pani.

– Zaraz znać: nieśmiały. Ot, wysyłają dzieciaka do miasta na poniewierkę.

– Już chyba pójde – mówi Kajtuś.

– Ty pewnie głodny?

– Nie, nie głodny.

– Masz bułkę. Weź, sierotko.

---

<sup>9</sup> *nabić* (pot.) – zbić, wielokrotnie uderzając. [przypis edytorski]

A Kajtusiowi, czy z żalu, czy z tego zmęczenia, łzy napłynęły do oczu.

– Nie wstydź się, weź.

– Nie wezmę.

Prędko się wyniósł.

– Czego płaczesz?

– No... Mucha czy coś – wpadło mi do oka.

Nareszcie. Ostatni sklep, dwunasty. Pralnia.

Nie chciał wejść, bo woli delikatniejsze sklepy. Ale kolega namówił.

– Wejdź. Nie bój się. Już koniec.

Nie boi się. Nieostrożny.

– Przepraszam. Czy można wyprasować kota?

– Kota? – zdziwiły się panny.

– Tak. Zdechłego. Z ogonem.

A nie zauważył, że koło drzwi siedzi narzeczony panien. A ten cap go za kark.

– Poczekaj. Ciebie wyprasujemy. Dawaj, Franka, gorące żelazko.

Silny. Mocno trzyma. Położył Kajtusia na deskę do prasowania.

– Czego pan chce?

– To jest wypchany kot.

Nie wrywa się, tylko prosi:

– Niech pan puści.

Zlitowała się panna Frania.

– Puść go, głuptasa.

– Nie głupi on. Cwaniak, struga tylko wariata.

– A ja mówię, że nie. Dobrze mu z oczu patrzy.

– Ja wszystko wytłumaczę – jęczy Kajtuś.

– Dobrze, więc co to za zdechły kot?

Patrzy Kajtuś, że drzwi otwarte.

Dobrze, że teczkę oddał koledze: lżej było uciekać.

– Poczekaj! Spotkamy się. Poznam cię. Dostaniesz za swoje.

Dogonił go kolega.

– Cóżes tak uciekał?

– Widać, że trzeba było<sup>10</sup>.

– Nie powiesz?

– Nie wymówiłeś<sup>11</sup>, że mam opowiadać. Dawaj teczkę. I sam sobie idź do kina. Ciesz się, żeś ze mną nie wszedł: dostałbyś, łamago.

Rozeszli się pogniewani. Nie pierwsza kłótnia Kajtusia.

I nie pierwszy zakład. Bo lubi się Kajtuś zakładać.

Rozmawiali raz w szkole o meczu.

Co ciekawsze: mecz czy kino? Czy kąpiel, czy łódka? Rower czy ślizgawka?

Mówi Kajtuś, że filmy dorosłych zawsze kończą się całowaniem.

---

<sup>10</sup> Widać, że trzeba było – dziś: Widocznie trzeba było. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> wymówić (daw.) – zastrzec sobie w umowie. [przypis edytorski]

– Chodź, pokażę ci, jak się całują.

– Chłopaka nie sztuka, ty pannę pocałuj.

– Oo, mądry. Sam spróbuj.

– Myślisz, że nie? Więc dobrze: załóż się o porcję lodów.

– Dobrze: daj rękę.

Ano, ostatnia lekcja.

Dzwonek. Spakowali książki.

Podwórko. Brama. Ulica.

– Wy idźcie za mną.

A sam naprzód.

Żałuje, że się założył.

Małej nie chce zaczepiać. Przykro. Bo się nastraszy. Zresztą powiedział, że „panna”. Więc duża.

Jak to zrobić? Idzie. Rozgląda się.

Idzie. Patrzy. Myśli. Patrzy. Czeką.

– Ta nie. I ta nie.

Mniejsza o te lody, ale wstyd przegrać. Musi postawić na swoim.

Aż nareszcie są.

Dwie. Uczennice. I starsze. Śmieją się. Rozmawiają. Nie spieszą się.

Jedną drugą nazwała Zośką.

Powiada:

– Słuchaj, Zośka, jak znów przyjdziesz...

Więcej Kajtuś nie słyszał. Ale ma plan.

Dał ręką znak, że zaczyna. Przeszedł na drugą stronę,

wyprzedził je i wrócił – i prosto na spotkanie.

Idzie. Głowę zwiesił, niby zamyślony.

Już je mija. Nagle staje. Spojrzał.

– Ooo, Zośka! Kiedy przyjechałaś?

Ona patrzy. Stoi zdziwiona.

A on – hop! Objął za szyję – i pac! Pocałował.

Głupia – jeszcze się nachyliła. Tak się pysznie udało.

Dopiero oprzytomniała.

– Ty co za jeden?

– Ja? Ano Kajtuś.

– Co znów za Kajtuś?

– Nic – taki chłopak.

Oblizuje się, że niby pocałunek smaczny.

I w nogi.

One patrzą, dziwią się – aż się domyśliły.

– Poczekaj, andrusie<sup>12</sup>!

– A to zuchwały chłopak!

– Skąd wiedział, jak się nazywam?

Kolega był wtedy honorowy.

Był honorowy i miał dwadzieścia groszy.

Podzielili się lodami po równo.

Trzeci też dostał, choć mu się nie należało.

Już taki jest Kajtuś.

Niecierpliwy. Odważny. W głowie różne pomysły.

---

<sup>12</sup> andrus (daw.) – łobuziak, psotnik. [przypis edytorski]

Był taki, zanim jeszcze zaczął chodzić do szkoły.  
Był taki, zanim jeszcze stał się czarodziejem.

## Rozdział drugi

Skargi na Kajtusia – Blizny – Antoś czy Kajtuś? –  
Papierosy pali – Mysz koło pieca

Skargi i skargi na Kajtusia.

- Utrapienie z chłopakiem – wzdycha mama.
- Nie biłem, ale jak stracę cierpliwość – grozi ojciec.
- Dobrze mu z oczu patrzy – uśmiecha się babcia.
- Głowę ma dobrą – mówi ojciec.
- Do wszystkiego ciekawy – dodaje mama.
- W dziadka się wrodził – uśmiecha się babcia.

Skargi i skargi.

Mówi stróż, że z okna rzucił śledzia na głowę gospodarza domu.

- Rzuciłeś?
- Nieprawda.

Po pierwsze: wcale nie śledź, a tylko ogon śledzia.

Po drugie: nie na głowę, a na kapelusz.

Po trzecie: nie z okna, a przez poręcz schodów.

Po czwarte: nie Kajtuś, a inny chłopak.

W dodatku nie trafił – niezdara.

Powiada stróż, że pogasił światła na wszystkich schodach.

- Nieprawda. Wcale nie na wszystkich, a tylko w jednej sieni.

Skąd stróż wie, że akurat ja? Może kto inny? Może kto jeszcze? Może dziewczynka zgasiła, a nie chłopiec? Może strażak zgasił? Są przecież w Warszawie strażacy.

Mówi stróż, że Kajtuś dzwoni i ucieka.

– Dzwonię, tak, ale w innych bramach. Nie w naszej. Raz dzwoniłem, dawno.

– Dlaczego dzwonicz?

– Tak jakoś.

Bo chce wiedzieć, czy dzwonek nie zepsuty. Czasem z nudów. Czasem ze złości, że idzie do szkoły, a głupi dzwonek wisi sobie jak hrabia i nic nie robi.

Mówi stróż:

– Wyrwał kamień, powyginał rynnę.

To już zupełnie kłamstwo.

Wie nawet, kto to zrobił.

– Ja sanki zbijałem, ale młotkiem, wcale nie kamieniem. A deskę oparłem o schowek, a nie o rynnę.

Ma świadka. Może przyprowadzić chłopca, który mu młotek pożyczył i deskę trzymał.

Znów przychodzą na skargę.

– Szybę stłukł. Kamień rzucił.

– Widziałem, jak uciekał. W psa rzucił.

– Nie w psa, a w kota. Nie kamień, a kawałek cegły. Zupełnie inny chłopak wybił szybę kamieniem. – Tylko uciekli razem.

Wie kto, ale nie powie.

– Dlaczego ta pani dobrze nie widzi?

A jeszcze przychodzi na skargę i każe płacić za szybę?  
Bo wygląda tak, że już nikt nic złego, tylko wszystko Kajtuś.  
Są przecież gorsi od niego.

Mówią:

„Jeżeli sam nie zrobił, to jeden z jego koleżków”.

Więc co? Za wszystkich ma odpowiadać czy tylko za siebie?

Był mały.

Do szkoły jeszcze nie chodził.

Poszedł kąpać się w rzece.

Ubranie zostawił na piasku.

Ano, pływa – potem wychodzi z wody. I widzi z daleka, jak uciekają łobuzy.

Wszystko zabrali: spodnie, buty, czapkę, nawet koszulę.

Pan się zlitował, owinał w swoją marynarkę i zaniósł Kajtusia do domu.

I była awantura, że no.

Złodzieje też są między chłopakami.

A Kajtuś nie ruszy cudzego. Brzydzi się złodzieja.

Miał tylko różne przygody.

Kiedy żyła Helenka, skakali ze schodów; z jednego, z dwóch, z trzech, z czterech i z pięciu.

Chciał pokazać, że skoczy bez trzymania za poręcz.

I pokazał: skoczył z pięciu schodków. Byłoby się udało, ale

miał nowe buty... śliskie podeszwy...

Potem długo leżał w łóżku.

Teraz na głowie włosy mu w tym miejscu nie rosną.

To się nazywa blizna.

Drugą bliznę ma Kajtuś na nodze, bo go pies rzeźnika pokąsał.

Bo mówili chłopcy, że pies się nie da pogłaskać.

– Zły pies.

– Spróbuję ostrożnie. Może się uda.

Spróbował ostrożnie. I nie udało się.

Założył się, że przeleci przed tramwajem.

– Możesz się przewrócić. Daj lepiej spokój.

– Czego się mam przewrócić?

– Nie zdążysz.

– To się załóż.

Ale zakład nie został rozegrany. Motorniczy w porę zatrzymał, zahamował tramwaj; ale policjant przyprowadził Kajtusia do domu.

Zabronili mu cały tydzień na podwórko wychodzić.

Raz sam został w mieszkaniu.

Chciał zrobić niespodziankę: że porąbie drzewo siekierą.

I też się nie udało.

To już trzecia blizna Kajtusia, na palcu lewej ręki.

A mogło być jeszcze gorzej. Bo znów w domu został. I chciał lampkę zapalić przed obrazem.

Zapaliła się firanka. Ale akurat babcia weszła i ogień zgasiła.

Już taką ma Kajtuś naturę, że musi widzieć, wiedzieć, a potem

sam spróbować.

Opowiedziała mu mama bajkę o Ali Babie.

Ali Baba był to wódz rozbójników.

Arabski zbójca. Czterdziestu ich było. Ali Baba dowódca – herszt.

Mieli zbójcy w lesie piwnicę. Nazywała się ta piwnica – Sezam. Tam chowali skarby zrabowane. Tam worki z dukatami<sup>13</sup> i złoto, i drogie kamienie, i brylanty.

Do piwnicy prowadzą tajemnicze drzwi.

Jeżeli powiedzieć: „Sezamie, otwórz się!”, drzwi same się otwierają.

Bajka bardzo ciekawa.

Ano.

Leży Kajtuś w łóżku i myśli o skarbach ukrytych.

Aż potem pyta się ojca:

– Czy są skarby prawdziwe?

Nie w bajce, a naprawdę.

Bo gdy mu mama i babcia dobrze nie wytłumaczą, chce sprawdzić u ojca.

– Są skarby – mówi ojciec. – Były wojny na ziemiach naszych. Nieprzyjaciel palił i rabował, a ludzie zakopywali, co cenne. Nawet niedawno pisali w gazetach, że w polu znaleźli garnek z monetami.

Mówi ojciec, że minister drukuje papierowe pieniądze, bo

---

<sup>13</sup> dukat – złota moneta używana w Europie do XIX w. [przypis edytorski]

złoto za ciężkie do noszenia: więc sztaby złota leżą schowane w piwnicach.

Tego Kajtuś nie zrozumiał dobrze, bo było za trudne. A może był wtedy śpiący.

– No, trzeba spróbować.

Dobrze. Idzie z babcią do piwnicy po węgiel.

Schodzi się pod ziemię. A tam drzwi i długi korytarz. A tam różne małe drzwi, do każdej piwnicy osobno.

Babcia zapaliła świecę. Idą. A w kącie korytarza stoi beczka.

Schował się Kajtuś za beczkę.

Babcia wzięła węgiel do kubelka i wychodzi. A Kajtusia nie ma.

Woła babcia:

– Antoś, Antoś!

Gdzie się chłopak podział?

A on przykucnął za beczką i czeka cicho.

Myśli babcia: „Pewnie już na podwórku”. I zamknęła piwnicę na kłódkę.

Został Kajtuś w ciemnym korytarzu. Ale się nie boi. Myśli, czy aby uradzi<sup>14</sup> ciężką sztabę złota.

Szuka w beczce: pusta.

Namacał pierwsze drzwi i mówi:

– Otwórz się, Sezamie.

Nic. Namacał drugie drzwi:

– Otwórz się, Sezamie.

---

<sup>14</sup> *uradzić coś* (pot.) – dać radę udźwignąć coś. [przypis edytorski]

Znów nic.

Idzie, wraca. Ciemno.

Kręci się, szuka. Już nawet nie wie, gdzie jest. Sam jeden tak  
błądzi. Ciemno, cicho.

– Sezamie, otwórz się.

Ale zaczął płakać. Przestraszył się dopiero.

Bo może duchy albo szczury?

Mały był. Do szkoły jeszcze nie chodził.

Krzyczy, wali ręką w ścianę.

Myśli, że już się nie wydostanie.

– Mamo, babciu!...

I naprawdę mógł długo siedzieć, bo babcia go nie szukała. Bo  
czy to pierwszy raz Kajtuś na ulicę albo gdzie do sąsiadów?

Już mu głosu zabrakło.

– Babciu, tatku, mamu!

A na schodach ludzie nie słyszą, bo stukają butami. I Kajtuś  
stoi nie przy drzwiach, a na końcu, gdzieś koło beczki.

Ale listonosz przyszedł i w torbie listy układa. Stoi w sieni.  
Usłyszał. Słucha. Co to? Ktoś tam w piwnicy zamknięty.

Dzieciak chyba.

Zawołał.

Pytają się:

– Dlaczego nie odezwałeś się, kiedy cię babcia wołała?

Dlaczego za beczkę wlałeś?

Nie odpowiada.

Nie, żeby się kary bał.

Nie chce.

Nacierpiał się. A jeszcze go wyśmieją.

Oj, Antoś, Antoś. Zawsze jakieś figle.

Prawdziwe imię Kajtusia jest Antoś. Tak nazywają go w domu.

Kajtusiem został na podwórku między chłopakami.

Bo stoi raz przed bramą i pali papierosa.

Pociągnie i dmucha, pociągnie i dmucha.

A stara się, żeby dużo dymu było. Bo zapłacił pięć groszy, więc chce, żeby było ładnie.

Mógł kupić czekoladkę, ale papieros ciekawszy.

A ulicą przechodzi żołnierz.

Zatrzymał się, patrzy, śmieje się.

Mówi:

– No! Mały taki Kajtuś, a kurzy jak stary.

– Więc co?

Zawstydził się Antoś i obraził.

A chłopcy zaraz:

– Kajtuś, mały Kajtuś!

Żli byli, że nie dał pociągnąć. Sami bali się palić, ale zazdrościli.

I tak już zostało: nie Antoś, a Kajtuś.

Z przezwiskami jest tak. Jeżeli się nie gniewać, to często zapomną i przestaną. Jeżeli się złościć, to właśnie jeszcze bardziej. Bo lubią dokuczyć.

Kajtuś bił, nie dał się przezywać. Ale co jeden poradzi ze wszystkimi?

A dwóch Antosiów było na podwórku, więc nawet wygodniej, że jeden z nich Kajtuś. Wiadomo, kogo wołają. Wreszcie się przyzwyczaił, ale niezupełnie. I w ogóle – nie lubi kolegów.

Trzeci rok chodzi Kajtuś do szkoły, a nie znalazł na długo dobrego kolegi. Mało naprawdę porządnych. Bo tylko udają. Lizuchy<sup>15</sup>.

Boją się. Ze strachu spokojni, bo w domu na nich krzyczą albo biją. Tacy najwięcej kłamią.

Kajtuś też nauczył się kręcić i udawać.

Nie można się zanadto przyznawać. Gdyby dorośli lepiej rozumieli, wtedy co innego.

Mówi Kajtuś:

– Nie wiem, czego ode mnie chcą.

Choć wie dobrze.

Mówi:

– Kłamstwo od początku do końca.

Choć we środku<sup>16</sup> jest trochę prawdy.

Powiadają:

– Pobił tak, że się chłopiec ruszyć potem nie mógł.

– Co się ma nie ruszać? Przecież nie zabiłem.

– Mało mu ręki nie złamał.

---

<sup>15</sup> *lizuch* (rzad.) – lizus, przypochebiający się. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *we środku* – dziś popr.: w środku. [przypis edytorski]

Już odpowiadaj nie za to, co naprawdę zrobiłeś, ale i za to, co się mogło stać.

Owszem. Są chłopcy poważni, ale zarozumiali.

Albo cicha woda, albo niedotykalski.

Zaraz:

– Odsuń się.

– Przestań.

– Odejdź.

Trzeci rok chodzi Kajtuś do szkoły.

Ale i tu ciągle skargi.

Kiedy przyszedł do pierwszego oddziału<sup>17</sup>, pani go pochwaliła.

– Umiesz już czytać. Kto cię nauczył?

– Sam się nauczyłem.

– Zupełnie sam?

– Wcale nietrudno.

Usiadł na pierwszej ławce.

I zaczęło się:

– Siedź prosto. Nie kręć się. Nie rozmawiaj.

Znów:

– Nie kręć się. Siedź spokojnie. Nie baw się ołówkiem.

Uważaj.

Początek godziny łatwy. Potem coraz trudniej.

Kiedy nareszcie dzwonek?

---

<sup>17</sup> *oddział* – tu daw.: klasa. [przypis edytorski]

Opowiada pani coś ciekawego. Wtedy okropnie złości, że przerywają. Pani zaczyna się gniewać, aż słuchać się odechce.

W domu wolno oprzeć się o stół, gdy ojciec opowiada, wolno oprzeć się o łóżko, gdy mama mówi bajkę, oprzeć się o kuferek, gdy babcia wspomina dawne dzieje.

W domu wolno pochylić się i przeciągnąć, zapytać, gdy się nie rozumie.

A w szkole chcesz powiedzieć słówko, zaraz podnoś dwa palce do góry i czekaj.

No tak. Dużo w klasie dzieciaków i pani nie może osobno rozmawiać, bo inni zaczną hałasować. Ale to strasznie przeszkadza.

– Cóż, Antoś? – pyta się ojciec. – Jak ci się w szkole powodzi?

– Hm.

– Co w szkole słyszeć?

– Nic.

Nie bardzo nawet lubi rozmawiać o szkole.

Przeniosła go pani na czwartą ławkę koło okna.

Ale nie wolno przez okno wyglądać.

Na pierwszej ławce sąsiad był spokojny, a ten z czwartej zaczepia. Z tyłu za ucho ciągnie. Nie boli, ale czego zaczyna?

Chcesz powiedzieć, żeby przestał, i pani zaraz:

– Nie odwracaj się.

– A co zrobię, jak muszę?

– Idź do kąta.

– Pani nie wie i mówi – mruczy Kajtuś.

– Wyjdź za drzwi.

Aż wezwali ojca do szkoły.

– Co tam zwojowałeś?

– Biłem się z chłopakiem. Zaczął rozpowiadać, że się Kajtuś nazywam.

– No bo prawda: tak cię nazywają.

– Więc co, że prawda? Co innego podwórko, co innego szkoła.

– Trzeba było mu wytłumaczyć.

– A jakże. Będzie się słuchał.

– Bić się nie wolno.

– Wiem.

– Oj, Antoś, źle zaczynasz. Oj, Antoś, bo jak stracę cierpliwość...

W kancelarii pani bardzo się skarżyła.

– Nie słucha się. Niedobry dla kolegów. Rozbija się. Obgaduje.

Zmartwił się ojciec.

– Musisz się starać.

Stara się, ale co?

Parę dni już dobrze, potem znów awantura.

Siedzi ktoś przed Kajtusem i trąca go łokciem; nie jego, a zeszyt.

Kajtuś:

– Zabierz rękę.

A on:

– Bo co? Nie pozwolisz?

– Poczekaj: dam ci po dzwonku.

– Dużo się boję.

Kajtuś go ręką tylko, a on zawadził łokciem o kałamarz<sup>18</sup> i atrament wylany.

I kłamie jeszcze.

A pani nie wierzy Kajtusiowi.

Innemu się uda, a Kajtusiowi nie.

Stara się Kajtuś.

Na próżno.

Jeśli na lekcji cichy, na przerwie coś zmajszuje.

Aż złość bierze.

I już nie warto się starać.

I nie zawsze można wytrzymać, jak go coś skusi albo żart przyjdzie do głowy.

Ot, nudzi się Kajtusiowi na rachunkach.

I pan patrzy na zegarek i czeka na dzwonek.

Co robić, żeby się prędzej skończyło?

Ano – wskakuje na ławkę.

– Oj, proszę pana, mysz. Tam w dziurce koło pieca. Jeszcze widać ogonek.

Pan uwierzył.

– Wstydz się. Duży chłopak i boi się myszy.

Klasa w śmiech. Żeby się panu przypodobać.

---

<sup>18</sup> *kałamarz* – naczynie do przechowywania atramentu. W czasach, w których powstała ta książka, dzieci w szkołach używały zwykle pióra składającego się z podłużnej drewnianej obsadki z zamocowaną metalową stalówką, którą maczało się co chwilę w kałamarzu z atramentem. [przypis edytorski]

– Myszy się boi. Tchórz!

Schodzi Kajtuś z ławki i mówi:

– Phi. Nie było żadnej myszy, tylko tak nabujałem.

– Była – mówią.

– No to poszukaj, gdzie przy piecu dziurka.

Patrzą: naprawdę nie ma.

Myślał, że panu smutno, więc chciał rozweselić.

A pan się obraził.

Już pisze kartkę do ojca.

Tylko dzwonek go uratował.

Mówią, że błazen.

Nieprawda.

I czyta dużo, i myśli poważnie, i na lekcji zadaje mądre pytania.

Tylko że koledzy wcale nie za to go szanują, a właśnie za głupstwa.

# Rozdział trzeci

Dziwny jest świat i tajemniczy – Zegar czarodziejski –  
Kajtuś sam się nauczył czytać

Lubi Kajtuś to, co wesołe.

Lubi, jeżeli trudne.

Ale najwięcej lubi – tajemnicze.

Pierwsza bajka tajemnicza, którą mama opowiadała – o  
„Czerwonym Kapturku”.

Dowiedział się z tej bajki, że są wilki. Dzikie zwierzęta.

Widział wilka na obrazku. Podobny do psa.

Już potem wilka zobaczył w klatce żelaznej.

Chciał włożyć rękę między kraty; chciał spróbować. Ale  
mama nie pozwoliła.

Druga bajka – o „Śpiącej Królewnie”.

Dowiedział się, że są wróżki.

Trzecia – o „Kopciuszku”.

Wróżka dotknęła Kopciuszka laseczką i biedna sierota stała  
się księżniczką.

Później Kajtuś widział prawdziwą laskę czarnoksiężką.

To było na przedstawieniu w parku.

Pan uderzył laską w wodę i woda zamieniła się w wino.

Potem pan pokrajał chustkę do nosa, włożył kawałki chustki  
do kapelusza. Stuknął laską w kapelusz. Powiedział:

– Fokus – pokus.

I chustka do nosa znowu cała.

Ojciec mówi, że to są – sztuki magiczne.

– Ale jak się to robi?

Bardzo był Kajtuś ciekawy.

– Mamo, bajkę – prosi.

Bajka o „Kocie w butach”.

Tam wilk rozmawia z Kopciuszkiem, tu kot rozmawia z synem młynarza.

– Czy można z kotem rozmawiać?

Mama mówi, że przecież bajka.

Babcia mówi, że pustelnik rozmawia ze zwierzętami.

Tata mówi, że są ptaki gadające. Nazywają się papugi. A dziadek miał srokę gadającą.

Potem Kajtuś słyszał, jak papuga mówi ludzkie wyrazy.

Myślał Kajtuś, że tylko w bajce jest złota rybka, a tu nagle widzi rybki złote w sklepie na wystawie.

Pomieszana jest w bajkach prawda i nieprawda.

Więc może jest pierścień czarodziejski, który wywołuje ducha?

Kajtuś chce mieć taki pierścień, jaki miał Aladyn.

Tyle różnych dziwów na świecie.

Dorośli wiedzą, ale nie chcą wytłumaczyć.

Babcia mówi, że jej się Helenka pokazała po śmierci. A ojciec nie wierzy w duchy.

Babcia mówi, że można wyczytać z ręki przyszłość człowieka.

– Kiedy byłam młodą dziewczyną, Cyganka wszystko powiedziała, co będzie.

– Kłamią Cyganki – mówi ojciec – ludzi tumanią.

Chce Kajtuś wiedzieć, co będzie. A ojciec nie lubi, żeby opowiadać Kajtusiowi o rzeczach tajemniczych; bo potem nie może zasnąć i śpi niespokojnie, i rozmawia we śnie.

To dziwne.

Jak można spać i mówić?

A są ludzie, którzy chodzą nawet we śnie.

Nawet chodzą.

Wyjdzie taki z łóżka w noc księżycową, potem przez okno na dach. Oczy ma zamknięte, a widzi i nie spada z dachu.

Zapomniał Kajtuś, jak dziwnie się jakoś nazywają.

Dziwny jest świat i tajemniczy.

Bo co? Ojciec był małym chłopakiem, babcia bawiła się lalką, a mama też miała babcie.

Czy nie dziwne, że Kajtuś urośnie i także będzie tatusiem?

Trudno jakoś zrozumieć.

Jedno było, ale dawno. Drugie dopiero będzie. Trzecie jest, ale daleko.

Są dalekie kraje. Tam ludzie są czarni. I dzieci czarne, i nauczyciel w szkole czarny.

Widział Kajtuś na ulicy takiego Murzyna, ale nie ludożercę.

Mówi babcia, że są oczy uroczone<sup>19</sup>; jak spojrzy złym okiem,

---

<sup>19</sup> *uroczne oczy* – oczy rzucające urok; wierzono, że niektórzy złym spojrzeniem mogą sprowadzać nieszczęście. [przypis edytorski]

to człowiek zachoruje.

Ojciec mówi, że nie. A Kajtuś widział pana, który miał szklane oko, prawdziwe oko ze szkła.

Mówi ojciec, że nie ma czarodziejów, ale jest fakir<sup>20</sup> indyjski. Można go zakopać w ziemi, a on będzie żył. Czytał ojciec o fakirach w gazecie.

Czasem i gazeta kłamie.

Żeby tak wiedzieć wszystko zupełnie na pewno.

Wydaje się Kajtusiowi, że przedtem ciekawiej było na świecie.

Gdzie teraz domy i Warszawa, były wtedy lasy i bagna, i niedźwiedzie.

W lasach ukrywali się zbrojcy.

Byli rycerze.

Byli królowie w koronach.

Sześć białych koni ciągnie złotą karetkę królewską.

Było na co popatrzeć.

Napadali Tatarzy. Brali w jasyr<sup>21</sup>. Porywali dzieci i sprzedawali Turkom w niewolę.

Były tajemnicze zegary.

W domu babci był zegar tajemniczy. Duży był i wisiał nad komodą. Rodzice babci mieli ten zegar. Mieszkali nie w Warszawie.

– Niech babcia opowie o zegarze – prosi Kajtuś.

– Kiedy się ojciec gniewa, że cię straszę, a potem śpisz

---

<sup>20</sup> *fakir* – asceta hinduski. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *jasyr* (z tur.) – niewola tatarska lub turecka. [przypis edytorski]

niespokojnie.

– Tylko ten jeden raz, moja kochana. Przecież już wiem i tak.

Przecie<sup>22</sup> się nie boję.

– Ano, zegar był stary, bardzo stary.

– Złoty był – podpowiada Kajtuś.

– Nie złoty, a złożony. Z drzewa. Połączony. Rzeźbiony.

– Na tym zegarze była ręka, a pod ręką klucz – mówi Kajtuś.

– Tak, właśnie. Tu na dole tarcza zegara z numerami godzin, a wyżej ręka i klucz.

– I zegar nie chodził – mówi Kajtuś.

– Ani chodził, ani bił. Żaden majster nie umiał go naprawić.

Wisiał na ścianie i czekał czasu.

Kajtuś przysuwa się bliżej.

– Czy duży był?

– Jak obraz. Wisiał nad komodą.

– A ręka była duża?

– Jak twoja.

– No, dalej – niecierpliwi się Kajtuś.

– Ano, zegar wisi, ani chodzi, ani bije. Ale kiedy miało być jakie nieszczęście w rodzinie, ręka brała ten klucz i zegar bił, dzwonił.

– Którą godzinę? Dwunastą?

– Nie. Nie pamiętam. Byłam wtedy młoda, a twoja mama była maleńka. Jeszcze ząbków nie miała.

– No i co?

---

<sup>22</sup> *przecie* (daw.) – przecież. [przypis edytorski]

– Raz ręka wzięła klucz i zegar bił na śmierć dziadka. Raz przed pożarem. A ostatni raz sama widziałam i słyszałam.

– Czy głośno dzwonił?

– Zwyczajnie, jak zegar.

– A długo ręka ten klucz trzymała?

– Cóż ci będę mówiła, kiedy nie pamiętam.

– A palce ręki się ruszały?

– Nie wiem, Antosiu.

Kajtuś też wiele zapomniał – nie pamięta, jak sam był mały.

– Babciu, niech babcia opowie, jak złodzieje truli Azora.

– Już tyle razy mówiłam. Mieliśmy dwa psy. Azor wtedy był młody, a Kado stary i mądry.

– Czujny był – dodaje Kajtuś.

– Wierny, mądry pies.

– A złodzieje podrzucili zatrutą kiełbasę – podpowiada Kajtuś.

– Ano tak. Ale Kado poznał od razu. Wącha kiełbasę, szczeka i nie rusza.

– Oj, babciu. Z tym felczerem<sup>23</sup>. Taka śmieszna historia.

– I śmieszna, i nie. Twoja mama zachorowała. I dziadek wezwał felczera.

– Kado na łańcuchu.

– No tak. Silny pies. Mógł poszarpać obcego człowieka.

– Ale się zerwał z łańcucha.

– Zerwał się i skoczył do tego felczera.

---

<sup>23</sup> *felczer* – osoba wykonująca proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

– A on parasol otworzył.

– Tak. Wskoczył na śmietnik i parasol otworzył.

– A Kado w nogi.

– Poczekaj. Nie spiesz się. Więc Kado ogon podwinął, odskoczył. Stoi jak głupi i woła na pomoc.

– Pewnie myślał, że parasol strzela?

– Kto tam wie, co pies myśli.

Kajtuś ziewa. Nie śpiący, ale się zmęczył.

– Śmieszne było – mówi babcia – jak to wielkie psisko jadło z szaflika<sup>24</sup> z małą kotką.

– Z Kicią?

– Nie. Kicia wcześniej była.

– Więc niech babcia opowie.

– A to tak. Należymy do szaflika jedzenie dla psa, a kotka zaraz już jest. Niegłodna, tylko przychodzi się drażnić. A Kado czeka, żeby wybrała sobie, co chce. Niecierpliwi się, złości, chce łapą odsunąć. A ona jeszcze parska. Sto pociech było.

Śmieje się babcia, choć to dawne dzieje.

Śmieje się Kajtuś, choć tego nie widział.

– Jeszcze, babciu, o szczurach.

– Ale już koniec.

– Dobrze – zgadza się Kajtuś.

– Ano, stary był nasz domek, ale czysty. Ani robactwa, ani myszy. A niedobrego mieliśmy sąsiada. Tu stoi nasz domek, tu płotek – i zaraz jego rudera.

---

<sup>24</sup> *szaflik* – drewniana misa a. wiadro. [przypis edytorski]

– Pijak był – mówi Kajtuś.

– Pijak i awanturnik.

– Żonę bił.

– Bił. Więc siedzimy raz z twoim dziadkiem. Dziadek czyta książkę, a ja szyję. Siedzimy sobie na ganeczku przed domem. Taka była altanka.

– Obrośnięta dzikim winem.

– No tak. Twoja mama i wujko już spali. Dawniej dzieci wcześniej spać chodziły. Ano, siedzimy, każdy swoim zajęty. Cicho. Nagle krzyk: „Ratujcie, ludzie! ratunku!” Dziadek jeszcze nic, słucha. Ale ona, ta jego żona, tego sąsiada, krzyczy: „Ratunku, bo mi dziecko zabije!”.

– I dziadek skoczył.

– W mig skoczył, Antosiu. Twój dziadek był w gorącej wodzie kąpany. Dobry bo dobry, ale sprawiedliwy.

– Złapał laskę.

– Grubą lachę i skoczył przez płotek.

– I w łeb pijaka.

– A co? Nie miał bronić dziecka?

– Pijak się zemścił – przypomina Kajtuś.

– Zemścił się. Znał jakiś sekret, że szczury nam naprowadził.

Dużej szkody nie zrobiły, bo i dziadek miał swoje sposoby. Tylko jeden został – wielkie takie szczurzysko.

– Był taki duży jak kot?

– Tyle nie. Ale nie można go było złapać, tego szczura.

„Pewnie zaczarowany” – pomyślał Kajtuś, ale nic nie mówi.

– Dziadek zwabił tego szczura do kuchni. Jest. Dobrze. Zamknął wszystkie drzwi i szuka. Nie ma. I tu, i tam, i tu, i tam. Nie ma i nie ma.

– Schował się pod schodek.

– Nie pod schodek wcale. Nieuważnie słuchałeś. Owszem, był schodek z kuchni do sieni. Dziadek odwalił ten schodek siekierą, ale szczura nie ma. No, przypomnij sobie, Antosiu.

– Wiem. W kieszeni fartucha się schował.

– I to nie. Wisiał w kącie fartuch. Ale szczur powiesił się zębami, tak skoczył i wisiał na zębach, w płótno się wgryzł. No już.

– Babciu, jeszcze o beczce do wody deszczowej.

– I co ciekawego? Że w beczce znalazłam ropuchę?

– A pożar, babciu?

– Nie, nie. Już późno. Ojciec będzie się gniewał.

– No to o kurach, które się niosły w drewni.

– Nie. Śpiący jesteś. Ziewasz.

– Wcale mi się spać nie chce.

Ale widzi Kajtuś, że babcia nie ma ochoty, więc się do snu rozbiera.

Najwięcej babcia opowiadała, kiedy mama była w szpitalu.

Leży Kajtuś w łóżku.

Oczy ma zamknięte.

Myśli:

„Co to znaczy, że dziadek był w gorącej wodzie kąpany?”

Dlaczego babcia mówi, że nie można wiedzieć, co pies myśli? Dlaczego dzikie wino? Mówiła babcia, że dzikie wino to zwyczajne liście trujące, nawet nie pokrzywa, więc dlaczego dzikie?”.

Nieprzyjemnie zawsze prosić, żeby wytłumaczyli. Czasem chcą, czasem nie chcą powiedzieć. A jak nie chcą, to tak pokręca, popląca, że nie można zrozumieć.

Aż złość bierze.

– Trzeba nauczyć się czytać. Sam dowiem się z książki. Po co czekać, aż zacznę chodzić do szkoły?

W książkach wszystko napisane. Kto czyta, ten wie. I sam wszystko może. Z książek wie doktor<sup>25</sup>, jak leczyć choroby. Tak mówi ojciec.

Gdyby Kajtuś umiał czytać, mama byłaby zdrowa.

Trzeba tylko wyszukać w książce dobre lekarstwo.

Zna już Kajtuś cztery litery. Umie pisać jedynekę i czwórkę.

Spróbuję!

Kiedy Kajtuś był mały, ojciec mu dawał gazetę.

– Masz, czytaj.

Kajtuś patrzy na gazetę i plecie, co mu ślina do ust przyniesie:

– Etle, fetle, metle.

Nie rozumie, co znaczy „czytać”.

A wszyscy się śmieją.

---

<sup>25</sup> *doktor* – dziś popr.: doktor. [przypis edytorski]

Albo smaruje ołówkiem na papierze i zdaje mu się, że pisze.  
Teraz wie, że to były żarty.

– Babciu!

– Jeszcze nie śpisz?

Wyskoczył z łóżka i niesie swoją książkę.

*Kot w butach.*

Patrzy:

Kot. Trzy znaczki. Przeliczył: trzy. W środku: „O”. Kółko –  
litera.

Gdzie tu kot? Skąd znowu kot?

– Babciu, prawda, że we środku w kocie jest litera O?

– Prawda, prawda. Już śpij. Ojciec będzie się gniewał.

Wcześniej obudził się Kajtuś.

Zaraz na podwórko.

Prosi chłopca, który chodzi do szkoły:

– Pokaż litery.

– A tobie na co? I tak nie zrozumiesz.

Obiecał Kajtuś fundę<sup>26</sup>: ananasowy cukierek.

– No to uważaj. Patrz.

Przygląda się, patrzy. Uważa.

Ale nie rozumie.

A ten się śmieje.

– Za mały jesteś. Za głupi.

---

<sup>26</sup> *funda* (pot.) – to, co się komuś funduje, kupuje komuś w prezencie. [przypis edytorski]

Zawstydzził się Kajtuś.

Potem nie pytał się chłopców. Bo dziewczynki cierpliwsze.

Troszkę wytłumaczyły.

A ojciec resztę.

– Widzisz. Tak jest „kot”, tak jest „kos”, tak będzie „koń”.

Nareszcie wie.

Sam się domyślił, dlaczego: „rak” i „rok”, dlaczego „bat” i „but”.

Przeczytał na ulicy: „Kino”.

Przeczytał:

„Piwo – Ser – Masło”. „Apteka”.

Czyta szyldy sklepowe, nazwy ulic, bilety tramwajowe, pudełka od papierosów.

Raz łatwo, więc sobie śpiewa i pogwizduje; to znów zły, bo nie może dać rady.

– Kupię książkę szkolną. Co się mam ciągle prosić.

Zaczął zbierać pieniądze. Zebrał trzydzieści groszy i zgubił, bo dziurę ma w kieszeni.

Aż ojciec się ulitował i kupił.

– Masz. Czytaj. Może nie będziesz tak latał po podwórku.

Ojciec zgadł. Kajtuś siedzi i czyta.

– Prędko mu się znudzi.

Ojciec nie zgadł. Nie znudziło się Kajtusiowi.

Budzi się rano, zaraz książka. Kładzie się spać, książka pod poduszkę.

Ale najlepiej czytać nad Wisłą.

Czyta – czyta, zmęczył się – oczy bołą – patrzy na wodę, na chmurę, na łódki. Odpocznie – i znów łatwo.

Już niby wie i umie, a tu dwie litery czyta się razem, jak jedną.

Są znaki, których się wcale nie czyta.

Są litery małe i duże, pisane i drukowane.

Nagle przy łatwych wyrazach stoi wyraz trudny.

Albo wyraz drukowany niepodobny do tego, co się mówi.

Bo mówi się „japko”, a pisze się „jabłko”. Dlaczego?

Niby znajomy wyraz, a trzeba się dopiero domyślać, co znaczy.

Są w książkach i takie wyrazy nowe, których Kajtuś jeszcze nie słyszał.

Bo dorośli trudniej mówią między sobą.

Chce już Kajtuś czytać napisy w kinie.

Aleee... Za dużo od razu.

Mama wróciła ze szpitala i bardzo się zdziwiła.

– Antoś czyta. No, no. To niespodzianka dopiero.

– Ma chłopak charakter – pochwalił go ojciec.

– Będą z niego ludzie – mówi babcia.

– Ucz się. Ucz się, synu, żeby tobą nie poniewierali.

Ojciec nie mówił: „Ucz się, Antosiu”.

Nie powiedział: „Antosiu” ani „Kajtusiu”.

A powiedział: „synu”.

Tak ładnie, tak uroczyście.

Synu. Cztery litery.

Ssss – y – nnn – u.

Teraz w szkole Kajtuś nie tylko bajki czyta, ale i grube książki bez obrazków.

Dużo czyta.

Zapomniał już nawet, że mu kiedyś trudno było czytać.

# Rozdział czwarty

Smok, rusalka, syrena – Wiedza tajemna – Kajtuś chce być czarodziejem – Trzynaście czarów w szkole

Kajtuś czyta.

Czyta o wojnach.

O podróżach.

Czyta o krajach i ludach. O zwierzętach i gwiazdach. I jak innym ludziom dzieje się na świecie.

No i...

Zdaje się, że wszystko dobrze.

Niby wie coraz więcej. Niby wie coraz lepiej. Już prawie rozumie. Ale nie tak, jak chce. Nie wszystko dokładnie. Zawsze jakaś tam tajemnica.

Aż doczekał się.

Pani akurat zastępowała chorego nauczyciela. Była wesoła. Chętnie odpowiadała. Można się było dokładnie rozpytać.

Dawno już czekał Kajtuś na taką godzinę.

A zaczęło się jakoś od smoka na Wawelu – od Krakusa.

– Były smoki czy nie? Ile głów miały? Czy ziały ogniem? Czy były rusalki i syreny?

Pani tłumaczy:

– Były zwierzęta skrzydlate. Ptaki przedpotopowe. Były

słonie-mamuty. Są wykopaliska.

– A król? A paż, a giermek królewski? Książęta i rycerze? Czy trefniś<sup>27</sup> musiał być garbaty? Dlaczego astrolog i alchemik, i sennik egipski?

Pani opowiada o wróżbach i przepowiadaczach.

– Astrolog z gwiazd odczytywał przyszłość. Alchemik robił złoto i lekarstwa: na starość i wszystkie choroby.

Usłyszał Kajtuś:

– Kamień filozoficzny<sup>28</sup>. *Perpetuum mobile*<sup>29</sup>. Wiedza tajemna.

Od dawna już czeka na taką godzinę.

– A magik, proszę pani? A hipnotyzer? A duchy? Czy Cyganki kradną dzieci i sprzedają do cyrku?

– Poczekaj. Nie wszystko od razu.

Roześmiał się któryś, niby że to dziecinne pytania. Ale go pani ostro skarciła i dalej mówi:

– Tak było, tak jest, tak może będzie. To wiemy, tego nie wiemy. A śmiać się nie należy.

I już jakby z jednym tylko Kajtusiem rozmawia. Tak zrozumiał tłumaczy.

---

<sup>27</sup> trefniś – zawodowy błazen na daw. dworach. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> kamień filozoficzny – legendarna substancja, zdolna do zmieniania metali nieszlachetnych w złoto. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *perpetuum mobile* (łac.) – dosł. wiecznie się poruszające; hipotetyczne urządzenie, które raz wprowadzone w ruch funkcjonowałoby nieustannie bez pobierania energii z zewnątrz; w przeszłości wielokrotnie podejmowano próby skonstruowania tego rodzaju mechanizmu, jednak jego zbudowanie jest niemożliwe. [przypis edytorski]

Czy żyli siłacze: Samson<sup>30</sup> i Herkules<sup>31</sup>? I Madej<sup>32</sup>? I mistrz Twardowski<sup>33</sup>? I Boruta? Jaka jest różnica między czarodziejem i czarnoksiężnikiem?

Nagle...

Niežnośny dzwonek. Już się zrywają szczeniaki. Dzwonek ostry, natrętny. Hałas..

– Nie chcemy przerwy! – woła Kajtuś. – Niech pani dalej mówi.

Pani się uśmiechnęła.

– Dlaczego to cię tak zajmuje?

– Bo on jest, proszę pani, Kajtuś i kurzy jak stary.

– Bo on chce być czarodziejem.

Zerwał się Kajtuś.

Przyskoczył. Zamierzył się. Będzie awantura.

Nie!

Pani zmarszczyła brwi. Tak jakoś dziwnie spojrzała.

I tylko:

---

<sup>30</sup> *Samson* – biblijny wojownik obdarzony nadludzką siłą; podstępem schwytyany do niewoli przewrócił kolumny budynku, grzebiąc pod ruinami siebie i wrogów. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *Herkules* (mit. gr.) – bohater słynny z ogromnej siły i wykonania 12 trudnych i niebezpiecznych zadań. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *Madej* – legendarny zbój z Gór Świętokrzyskich. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *Twardowski* – legendarny szlachcic, mieszkający w Krakowie w XVI w., który zaprzedał duszę diabłu w zamian za wielką wiedzę i znajomość magii. [przypis edytorski]

– Antoś, proszę cię! Zostań! Wyjdźcie wszyscy z klasy.

Kajtuś czerwony zacisnął zęby. Stoi – czeka.

Zostali we dwoje.

– Dziękuję ci, Antosiu – mówi pani.

– Dlaczego mnie drażnią? Dlaczego przeszkodzili?

– Zastanów się. Jesteś rozumny człowiek.

Zdziwił się: „Człowiek?”.

A pani mówi:

– Ty chciałeś słuchać po dzwonku, a oni nie. Mieli prawo nie chcieć. A ty nie przeszkadzasz nigdy? Nie trzeba być takim porywczym.

Powiedziała pani: „porywczy”, nie: „złośnik”. Dziadek też był porywczy.

Pani wyszła.

Kajtuś został sam w klasie.

Stało się.

Już wie.

Już wie teraz.

Ten chłopak prawdę powiedział!

Już wie zupełnie na pewno.

Chce być czarodziejem!

Nie paziem królewskim, nie rycerzem, nie cyrkowcem i nie kowbojem. Nie magikiem, co sztuki pokazuje. Ani Ali Babą, ani detektywem.

A właśnie czarnoksiężnikiem.

Teraz już wie stanowczo. A przeczuwał dawno.

Już nawet wtedy, gdy był mały, gdy mama czytała bajki, gdy ojciec o dawnych dziejach prawił, a babcia opowiadała o dzikim winie, o szczurach i o starym zegarze.

Nawet nie siłaczem jak Herkules, i nie gwiazdą filmową. Ani bokserem, ani lotnikiem.

Chce i musi poznać wszystkie zaklęcia.

Chce być potężny...

Ten chłopak prawdę powiedział...

Mówi pani, że nie ma zaklęć ani czarów.

Nieprawda. Muszą być. Są. Pani ich nie zna. Bo co innego książki szkolne, a co innego wiedza tajemna.

Sam Mickiewicz pisał o Twardowskim. I królowie wierzyli. Więc musi być prawda.

Pewnie astrolog tak czytał gwiazdy jak Kajtuś w książce litery. Jest. Musi być eliksir na wszystkie choroby, tylko go zwyczajni doktorzy nie znają.

Mylił się Kajtuś, gdy myślał, że się dowie w szkole, że z książek wyczyta.

Nie. Musi sam.

Będzie trudno. Nic nie szkodzi.

Zacząć trzeba. A gdy zacznie, to skończy.

Tak.

Chce mieć czapkę niewidkę i buty siedmiomilowe. I dywan, i torbę, i pierścień, i kurę, co znosi złote jaja. Nie zwyczajne, a złote. Będzie mógł z czarować, kogo zechce, każdego

nieposłusznego. Będzie władcą najpotężniejszym. Muszą go się słuchać.

Musi ćwiczyć wzrok. Znajdzie jakoś pierwsze zaklęcie – jeden wyraz magiczny, indyjski albo grecki.

Postanowił. Ślubował.

Zaczął i kończy.

Od tej pory ma Kajtuś dwa różne życia.

Jedno zwyczajne: w domu, w szkole, na ulicy.

Drugie życie inne, własne, tajemnicze, wewnętrzne.

Niby nic.

Bawi się, goni, zakłada się, wygrywa i przegrywa zakłady; drażni się, przeżywa i błaznuje.

Ale naprawdę – rozmyśla o czarach i próbuje. Różnie próbuje – i czeka.

Ćwiczy wzrok i myśli. Myślą i spojrzeniem rozkazy wydaje.

Patrzy z całej siły na chłopca, który przed nim siedzi na ławce.

Patrzy i rozkazuje:

„Każe ci się odwrócić. Odwróć się”.

Oczami i myślą woła, nie głosem.

Albo patrzy na nauczyciela.

„Chcę do tablicy. Żądam: niech mnie pan wywoła. Chcę odpowiadać!”.

Albo na ojca.

„Chcę pięćdziesiąt groszy. Na kino. Żądam. Proszę. Chcę być w kinie!”.

Ano, raz się uda, wiele razy się nie udaje.

Nic dziwnego. Czary są trudne. Zaczyna dopiero.

Kajtuś czeka cierpliwie.

Aż się doczekał.

Pierwszy czar był taki.

Pan chciał postawić zły stopień. Nie Kajtusiowi, nawet nie dobremu koledze, a zwyczajnemu chłopcu.

Kajtuś mocno pomyślał:

„Niech pióro zginie”.

I zaraz pan się pyta:

– Gdzie pióro? Przed chwilą leżało.

Chłopcy i pan szukają.

– Nie ma. Kto zabrał?

– Nie ja... I nie ja.

Tymczasem dzwonek. Pan wychodzi, a pióro leży na stole jakby nigdy nic.

Drugi czar.

Pan pisze na tablicy. A Kajtuś: „Niech się kreda zamieni w mydło”.

Chce pan pisać dalej – nie może. Ogląda kredę. Zły, mruczy coś pod nosem.

– Co się stało? – dziwi się klasa. – Co takiego? Czego pan chce?

Ale zaraz pan kredę mocno zacisnął i pisze. Tylko się

skrzywił.

I tak samo na geografii.

Pan stoi przed mapą i tłumaczy. Nudna była lekcja.

A Kajtuś krótko tylko i prędko pomyślał:

„Niech się mapa przekręci do góry nogami”.

Pan zamrugał. Zmarszczył czoło. Potarł oczy. Chłopcy nawet nie zauważyli, bo po chwili mapa znów równo wisi.

Kiedy potem liczył Kajtuś, ile mu się czarów udało, nie wiedział nawet, czy liczyć, czy to były czary prawdziwe.

Bo co?

Mogło się zdawać.

Może zasnął na chwilę znudzony i tak się przyśniło. Czasem trudno odróżnić, co sen, a co prawda.

A pióro, które znikło? Często tak się zdarza.

Zginie coś. Szukasz, szukasz – nie ma i nie ma. Potem patrzysz: leży. Aż dziw. Aż złość bierze.

Kajtuś chciał mieć pewność, że to nie przypadek, nie sen, nie omyłka, że naprawdę czar, a nie coś innego.

To tylko liczył, co bez czaru w żaden sposób nie mogło się zdarzyć.

Więc był w klasie chłopiec niezdara. Aż dokuczali, aż żartowali z niego.

Najgorzej na gimnastyce. A już najgorzej szło mu ze skokami przez linę.

Mówią.

– Czego się boisz? Jak linka spadnie, przecież nie zabije.

Żal się Kajtusiowi zrobiło. Bo czego od niego chcą? Dobry, cichy chłopak.

Rozkazał czarodziejskim sposobem.

Udało się. Oferma skoczył ponad linką. Cały ogromny kawał.

Tak lekko – chyba metr dwadzieścia.

– Zuch!

Chłopcy gęby pootwierali. Sam on skulił się przestraszony.

Krzyczą:

– Jeszcze raz. Jeszcze raz!

A ten w bek. Nie chce, nie będzie drugi raz skakał. Nie wie, co go podrzuciło.

Kajtuś uśmiecha się. Pomyślał:

„Ot, głupi naród”.

Bo przyjemnie wiedzieć, czego nikt nie wie, rozumieć, czego nikt nie rozumie, i móc, czego inni nie mogą.

Tak. To był czar.

Ale co tam: niech będzie, że się udało nie na rozkaz Kajtusia.

Miał ważniejsze dowody.

Zadała pani ćwiczenie. Nie chciało mu się, nie napisał.

Ściągnie na pauzie od kolegi.

Ale nie lubi się prosić.

Może pani nie będzie sprawdzała?

Pani wywołała tego i owego. Wreszcie kazała Kajtusiowi

pokazać zeszyt.

Przykro. Przecież postanowił zawsze dla pani lekcje odrabiać. Bo lubi panią i wie, że pani go lubi.

„Co będzie, to będzie. Chcę – żądam – rozkazuję. Niech będzie napisane”.

Idzie śmiało. Nawet nie otworzył zeszytu. Ale czuje, że musi się udać.

Zeszyt gorący taki, potem zimny, potem już zwyczajny. Oddaje.

Pani zeszyt otwiera, czyta.

– Na miejsce. Bardzo dobrze.

Wraca Kajtuś – siada.

Patrzy: jest ćwiczenie w zeszycie.

Pismo czarne, zwyczajne, potem blade – już ledwo znać – i znikło.

Westchnął. Zmęczony się czuje. W głowie mu się kręci.

Czar z rowerami.

Na pauzie.

Chłopaki gonią się, krzyczą, tłoczą i popychają. Nudzi się. Płatanina.

Kajtuś zły pomyślał: „Niech będą wszyscy na rowerach”.

Przestraszył się, kiedy zobaczył.

– Już dosyć!

Gdyby trwało dłużej, byłiby się pokaleczyli, ręce i nogi połamali. Nie umieją przecież, a zresztą, jak się zmieszczą, w

dodatku rozpędzeni?

Cisza zapanowała.

Groźna.

Kajtuś blady, spocony.

„Niech zapomną” – rozkazał.

Skończyło się szczęśliwie.

Jeden tylko leży na podłodze, za głowę się trzyma. Nie wie, czy go kto popchnął, czy się sam przewrócił.

Tylko jeden spadł z roweru i nabił guza.

Zapomnieli wszyscy, tylko woźny rozgląda się niespokojnie. Może dlatego, że stary. Widać, że coś podejrzewa.

Potem siedzi Kajtuś w ławce i myśli, co by się stało, gdyby nie powiedział od razu, że dosyć. Jak by to się skończyło.

Wygląda tak, że trudniejsze są czary, które długo trwają.

Dlaczego jedno uda się od razu, a drugie wcale?

Może i prawdziwi czarodzieje chcą czasem, a nie mogą? Może czasem inaczej wychodzi, niż chcieli? W bajkach mówi się o czarach, które się udały.

Kajtuś jest jakby uczniem dopiero. Bada, uczy się, próbuje.

Było tak:

Była klasówka z rachunków.

Pan podyktował zadanie.

– Za trudne – wołają chłopcy. – Nie wiemy! Nie możemy!

A Kajtuś: „Niech się atrament zamieni w wodę”.

I zaraz.

– Proszę pana. Atrament nie pisze. To woda.

Zawołał pan woźnego.

– Wczoraj nalałem – mówi woźny. – Taki sam atrament, jak w całej szkole. Musieli chłopcy coś wsypać.

Dyżurny nie wie, nie widział. Był atrament. Nikt kałamarzy nie ruszał. Jakżeby nie zauważył?

Pan polizał raz i drugi, wypluł, wzruszył ramionami. Udaje, że rozumie.

– Poczekajcie. Powiem panu kierownikowi<sup>34</sup>. Cała klasa będzie odpowiadała. Dostyc tej łobuzerki. Nie uda wam się. Ołówkami pisać.

Ale nie mają ołówków. I klasówki nie było.

Jeszcze więcej zamieszania wywołał dziewiąty czar Kajtusia. Były roboty<sup>35</sup>.

Owszem, roboty mogą być przyjemne, jeżeli nauczyciel się stara, a chłopcy się słuchają. Bo jak nie, to roboty jeszcze się więcej przykrzą niż zwyczajna lekcja.

Widzi Kajtuś, że do końca godziny daleko.

Już tydzień cały żaden czar się nie udał. Więc myśli: spróbuję. „Chcę. Rozkazuję. Niech już będzie dzwonek”.

Jest. Ale inny niż zwykle. Rozległ się jakby z góry, jakby fruwał w powietrzu i dzwonił.

Wysypali się chłopcy z klas, ciekawi, dlaczego tak prędko –

---

<sup>34</sup> kierownik – tu daw.: dyrektor szkoły. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> roboty – tu: zajęcia szkolne z prac ręcznych. [przypis edytorski]

uradowani są niespodzianką.

Pan kierownik zły wyszedł z kancelarii.

– Co tu się dzieje? Dlaczego? Kto?

– Ja nie dzwoniłem – mówi woźny.

– Więc kto?

– Nie wiem.

Stoi stary i łzy ma w oczach.

– Panie kierowniku, niech mi pan wierzy albo nie. Nie jestem pijany. Nie pierwszy rok w szkole pracuję. Znam figle chłopców. I mówię: tu w szkole duchy jakieś gospodarują.

– Dobrze, dobrze. Duchy. Proszę do kancelarii. A chłopcy do klasy!

Przeciągnął się Kajtuś, ziewnął zniechęcony.

Że też nie można zrobić czegoś, co by naprawdę było ciekawe.

Zawsze się skończy jakoś głupio.

Niby czarodziej – no i co z tego?

Żał mu woźnego. Bo co stary winien? A wziął go kierownik do siebie i pewnie ruga.

Nie chciał Kajtuś naprawdę martwić nikogo.

Znów dwa ważne czary udały się Kajtusiowi – jeden zaraz po drugim.

Był w klasie bogaty kolega.

Przynosi na śniadanie różne przysmaki. Łakomy i chytry – nigdy nie poczęstował nikogo. Przyniesie ciastko z kremem, potem papier wylizuje jęzorem.

Zaraz rano widzi Kajtuś, że żarłok wyjmuje swoją paczkę. Kajtuś spojrzał ostro, chwycił głęboko powietrze – i:  
„Niech ma żabę zamiast śniadania”.

Krzyk zaraz.

– Żaby w klasie!

Żarłok oczy wybałuszył, stoi jak nieprzytomny. Żaba skacze, a oni się śmieją.

– Patrzajcie! Żabę przyniósł na śniadanie.

– Pewnie zagraniczna!

– Z kremem!

– Kiedy przyniósł, niech zjada!

Wchodzi pani do klasy.

Miała długą przemowę.

– Żart niemądry. Ale gorzej, że ktoś zabrał dwie bułki z wędliną, ciastko i pomarańczę.

Widzi Kajtuś, że panią zmartwił, więc chce pocieszyć.

– Niech na stoliku przed panią leży róża.

Pożałował, że to powiedział, bo go coś w sercu kolnęło, coś szarpnęło w środku boleśnie. Jak iskra elektryczna albo jak ząb się wrywa. Jakby się u niego ta róża wyrwała z piersi.

I leży na stoliku.

Wtedy pan się pytał:

– Kto zabrał pióro? Przed chwilą było.

Teraz pani:

– Kto tu różę położył? Nie chcę. Za wiele sobie pozwalacie.

Chłopcy proszą:

– Niech paniusia powącha. Niech pani weźmie. Już my odkupimy śniadanie.

Jedni proszą naprawdę, drudzy błaznują. Bo lubią, jak się coś takiego wydarzy.

Po lekcji składkę zrobili.

– Daj grosik do czapki na głodnego żarłoka.

Dwanaście bułek, tuzin, kupili – całą torbę.

– Masz. Jedz. Na zakąskę. Po żabie.

Dumny stał się Kajtuś. Nieprzystępny i niecierpliwy.

Byle co, zaraz mówi:

– Chcesz w zęby? Głupi! Patrzcie go: osioł, udaje mądrego.

Już nikt go nie lubi. Bo rozbija się. Już nawet starszych zaczepia.

A pokłócił się z chłopcem z szóstego oddziału. Wyraźnie się narywa.

Otoczyli ich kołem. Dziwią się. Czekają na bójkę.

– Może i mnie przewiesz osłem?

– Owszem. I ośle uszy ci przypawię.

Miał Kajtuś w kieszeni lusterko, którym puszczał zajączki słoneczne po ścianie; nawet w klasie na lekcji.

Podaje mu lusterko i mówi:

– Masz. Patrz.

Nateżył myśl – napiął jak łuk czarodziejską wolę. Zażądał. Rozkazał.

Ten patrzy: wydłużyły się uszy, urosły w górę. I znikło.

Co takiego? Czy naprawdę, czy się tylko zdawało?

– Skąd masz to lusterko? Sprzedaj. Naucz, jak się to robi.

Zapomnieli o kłótni. Myślą, że jakaś sztuka.

– Oddaj – mówi Kajtuś leniwie, z wysiłkiem.

Złękli się. Widzą, że stoi blady, wargi mu posiniały. Oparł się o ścianę..

Rozbiegli się. Kajtuś sam został.

„Trudny być musi czar zmieniać ludzi w zwierzęta, jeżeli same uszy tak mnie zmordowały”.

Samotny się czuje i słaby.

Inaczej sobie to wszystko wyobrażał, gdy pragnął zostać czarodziejem.

Aż trzynasty czar i ostatni w miesiącu: muchy.

Pan objaśnia. Kajtuś nie słucha. Myśli o tym i owym. Nie wie nawet, gdzie jest i co się dzieje wokoło.

„Czy róża, którą dałem pani, też zaraz znikła? Może przeciwnie: nie zwiędnie, nie uschnie, bo czarodziejska, bo wyczarowana”.

Patrzy na piec, na sufit, na ściany.

Widzi na piecu muchę.

Mucha idzie w górę, prędko, jakby się spieszyła i bała się spóźnić. Potem przystanąła, jakby sobie coś przypominała, i wraca. I tak trzy razy: w górę, na dół, w górę, na dół – po piecu. Potem frunęła i znikła.

Czego szukała na piecu, dlaczego się obraziła?

Rozgląda się Kajtuś, a mucha siedzi na ścianie. I tak samo: trzy razy w górę, trzy razy w dół. Więc chyba ta sama?

A na suficie cztery muchy: dwie duże, dwie małe. Tak śmiesznie maszerują parami. Przyleciała piąta.

Pan odwrócił się i patrzy na klasę.

– Zrozumieliście?

Przestraszył się Kajtuś, bo pan każe powtórzyć.

Nagle myśl: „Żeby mucha siadła panu na nosie”.

I mucha już siedzi i czeka na dalsze rozkazy.

„Niech trzy muchy...”

„Niech pięć!”

Siedzą. Wszystkie na nosie.

Pan zamachnął się. Wróciły.

Bo muchy są natrętne.

Byłoby się na tym skończyło.

Ale Kajtuś nawet nie sam, a jakby ktoś inny za niego rozkazuje: „Niech tysiąc much”.

„Dziesięć tysięcy... Na nosie”.

Od razu wali przez otwarte okna cała gromada, cała wataha tych much.

Kajtuś schował się pod ławkę, niby że spadło mu pióro, więc podnosi.

Pan powiedział coś czy krzyknął. Cisza, tylko – bzzz – brzęczenie.

Potem pan wyleciał i trzasnął drzwiami.

Śmiech. Tupanie. Biją z uciechy w pulpity.

Kajtuś wyłazi spod ławki, a muchy partiami wylatują przez okno.

– Co to za wrzaski?

Zaraz kierownik – i śledztwo.

– Nie my. Pan widział: przez okno wpadły.

– Może nowy rój zakładają?

– Przecież muchy nie pszczoły.

– Myślałem, że szarańcza.

– Może zwariowały?

Pani była w klasie do końca godziny. Potem poszli do domu; bo była narada.

Zamknęli szkołę na dwa dni i urządzili sprzątanie. Chcieli nawet ściany malować.

Na bramie wisiła kartka:

„Z powodu remontu – zajęć nie będzie do czwartku”.

# Rozdział piąty

Czary Kajtusia w domu i na ulicy – Sonolo, kasolo,  
symbolo – Pierwszy czar stały – Niebezpieczeństwo

Mówią, że pieniądze nie dają szczęścia.

– Zdrowie ważniejsze – mówi mama. – Co z tego, że ktoś bogaty, jeżeli choruje?

Pewnie mama tak myśli, bo robili jej operację. Dwa razy w szpitalu leżała, raz nawet długo.

– Nauka jest ważniejsza – mówi ojciec. – Pieniądze można stracić, a wiedza na zawsze zostanie. Uczony da sobie radę w życiu.

I prosi ojciec, żeby się Kajtuś przykładał do książki, żeby był pilny i posłuszny w szkole.

– Największy skarb człowieka to dobre serce i czyste sumienie – mówi babcia. – Dobry nie martwi się. I zgodny z ludźmi, nie obrazi nikogo, i przebaczy, i zawsze znajdzie życzliwych, co w potrzebie pomogą. I życie spokojnie mu płynie bez krzywdy ludzkiej.

Ale Kajtusiowi się zdaje, że i bogactwo ważne.

Gdyby miał ojciec pieniądze, mama mogłaby na wieś pojechać i pewnie byłaby zdrowa.

Gdyby ojciec miał pieniądze, założyłby własny warsztat, nie potrzebowałby znosić kaprysów i cudzych kątów wycierać...

I dobry człowiek, jeżeli ma majątek, może się z biednym podzielić.

Więc Kajtuś chce być bogaty.

Chce mieć kureę, która znosi złote jaja.

Poszedł wieczorem na strych i próbuje czarować.

– Proszę, żądam, chcę mieć kureę, co znosi złote jaja.

– Sonolo – kasolo – symbolo...

– Pramara – rumkara. – Chcę, rozkazuję.

– Mutus, nomen, dedit...

– Tygrys, sezam, karakorum. Niech mam taką kureę!

Ani wie, po jakiemu mówi zaklęcia, ani co znaczą. Wyrazy, których nigdy nie słyszał, albo przekręcił – i znane...

Patrzy przez okienko na gwiazdy, patrzy ostro na czapkę, gdzie kura się ma ukazać, to znów oczy przymyka.

Oddech zatrzyma, to powoli i głęboko, to znów prędko oddycha.

Ręce ma splecione, palce rozstawił szeroko, albo w pięść ścisnął.

Głowę podnosi, pochyla.

Mówi głośno, próbuje szeptem.

Nic i nic.

Ani kury, ani jednego, choćby maleńkiego jajeczka. Jak na złość.

Złote mu się nie udały, próbuje srebrne. Też nie.

„Może lepiej się stało?” – chce się pocieszyć. Bo gdzie kureę

schowa, jak jajko sprzeda?

Co powie, gdy się zapytają, skąd wziął?

Trzy razy był na strychu.

Zmęczony bardzo wracał.

Nie. Lepiej nauczyć się – zwyczajnie znajdować pieniądze na ulicy.

Zacznie od małego, tak będzie łatwiej. Na początek złotówkę. Byle się nauczyć, byle wreszcie wiedzieć.

Bo przykro.

Bo jest czarodziejem, a nie wie. Ani zaklęć żadnych nie posiada – ani co, ani jak, ani kiedy. Jakby nie on, a ktoś inny za niego.

Dlaczego w szkole czary się udają, a na ulicy nie?

Zacznie od małego: „Chcę znaleźć złotówkę!”.

Wraca ze szkoły i szuka.

Nie szuka, tylko się rozgląda. Bo kto ma siłę magiczną, ten bez szukania znajdzie.

Idzie zwyczajnym krokiem, ani prędko, ani powoli. Idzie prosto, a potem już zygzakiem. Z początku spokojnie, ale potem już wątpić zaczyna.

Nie udało się.

Może wieczorem?

Są czary, które się udają tylko o północy. Zanim kur trzykroć zapieje.

Lekcje odrobił. Bierze za czapkę.

– Antoś, ty dokąd? Późno. Ojciec wróci z roboty.

– Przyjdę zaraz. Za chwilę...

Na ulicy latarnie się już palą.

Błoto.

Tramwaj się przesunie. Samochód zaświeci – przeleci.

– Chcę znaleźć.

– Niech znajdę.

– Żądam. Rozkazuję.

– Złotówko, znajdź się.

Znalazł. Tak dziwnie.

Już wracał, żeby się w domu bardzo nie gniewali.

Tak dziwnie, kiedy zupełnie stracił już nadzieję.

Już wracał.

Trudno. Nie dziś, to jutro, nie jutro, to za tydzień.

Nagle samochód jedzie. W błocie coś błysnęło. Nachyla się:  
moneta. Obok latarni, na samym brzeżuszku chodnika. Wisi  
prawie.

Pięćdziesiąt groszy.

– Dobra nasza!

Chuchnął na szczęście.

– Dosyć.

I pędem, co tchu – do domu.

Drugi raz.

Chciał znaleźć na ulicy, a znalazł na schodach, ale tylko pięć

groszy.

Tylko piątka; ale nowa, z blaskiem, jak złoto.

I dawniej zdarzało się, że Kajtuś znajdzie to i owo. Zgubił gumkę, znalazł ołówek, zgubił pióro, znalazł temperówkę.

I Kajtuś gubi, i inni. Bo wypadnie coś w biegu z kieszeni albo wyśliznie się z teczki.

Albo dorosły rzuci; bo wyrzucają takie rzeczy, które mogą się przydać: jakiś sznurek, pudełko, buteleczkę, program do kina.

Ale to zupełnie co innego.

Trzeci raz było inaczej.

Już zniechęcony, wcale nie szukał. Spieszy się do szkoły.

Nie to nie.

Gdy nagle.

– Chcę znaleźć sto złotych!

Bo co ryzykuje?

I zaraz koło narożnego sklepu przy samym schodku – podnosi całą złotówkę, a obok: dwa razy po pięćdziesiąt groszy. Więc razem dwa złote.

Więc może więcej żądać? Może się z nim targuje nieznany naczelnik?

Wtedy pierwszy raz przyszło mu do, głowy, że i czarnoksiężnik ma swój rząd i władzę. Nie jest niezależny. Są jakieś tajne rozkazy.

No więc co? Ma dwa złote. Wesół<sup>36</sup> idzie do szkoły.

---

<sup>36</sup> wesół (daw.) – wesoły. [przypis edytorski]

Spotkał kolegów. Pochwalił się. Pokazał.

Nie przeczuwa, że będzie miał przykrość.

Bo było tak, że ostatnio zaczęły ginąć różne rzeczy w szkole: giną śniadania, książki, rękawiczki, szalik.

Próbował nawet Kajtuś wykryć szkodnika czarodziejskim sposobem, bo nieprzyjemnie. Ale nic z tego nie wyszło.

I właśnie na Kajtusia padło podejrzenie, że chłopcu zabrał.

Bo pani zbierała składkę od tych, co jeszcze nie dali. A tamten w bek: miał dwa złote – zginęły; ukradli.

– Gdzie miałeś?

– W teczce. Nie w teczce, a w kieszeni.

– Możeś zgubił na ulicy?

Nie. Były. Miał w szatni. Położył na oknie.

– Kto z was ma jakie pieniądze?

Chłopcy wyjmują, pokazują. Ten ma dziesięć groszy, ten trzydzieści, ten ma dwie zagraniczne monety.

Kajtuś od razu się przyznał.

– Skąd masz dwa złote? – pyta się pani.

– Znalazłem na ulicy.

Pani nieprzyjemnie spojrzała na Kajtusia.

Wzięła pani dwa złote i pyta się tamtego:

– Twoje?

A tamten:

– Moje.

Dopiero wtrącili się chłopcy:

– On kłamie, proszę pani. Wcale nie jego. Nie miał. On

udawał, że płacze.

Kajtuś spokojnie patrzy pani w oczy. Tamten stoi czerwony, zmieszany. Aż wyjąkał:

– Moje były całe: jedno, razem dwa złote. Nie osobno.

– Mogę mu dać – mówi Kajtuś. – Niech bierze.

Pani nie wie, co robić, a chłopcy buntują Kajtusia:

– Nie dawaj, głupi. Patrzcie go, oszukaniec. Mówi, że miał na oknie, w kieszeni i w teczce. Miał inne, a mówi, że jego. O, znalazł i się, mądry! On kłamie. Nie miał wcale. Zawsze oszukuje. Kajtuś pokazał nam na ulicy, że znalazł.

Kajtuś wzruszył ramionami.

Pani chwilę pomyślała.

– Opowiedz, gdzie znalazłeś?

Powiada, jak było. Zamilczał, rozumie się, o czarach.

– Więc dajesz?

– Niech weźmie, kiedy mówi, że zgubił. To przecież nie moje.

A tamten bierze. Ręce mu się trzęsą. I już teraz naprawdę płacze.

Znów dziwnie jakoś poplątane.

– Może czarodziejska siła jednemu daje, drugiemu zabiera?

Bo przedtem także.

Chciał spróbować, inaczej.

Chciał wypróbować, czy można na innego przelać swój czar.

Wydał rozkaz, żeby mama znalazła złotówkę.

A mama wraca z miasta i dziwną historię opowiada:

– Znalazłam pięć złotych. Rozglądam się, kto zgubił. Widzę,

staruszek szuka. Pytam go się. Ucieszył się, biedaczysko. Właśnie było jego.

Dziko jakoś wyszło.

Takie to wszystko pokiełbaszone, że ani rusz zrozumieć.

Znalazł Kajtuś scyzoryk i kredki.

Scyzoryk leżał na środku ulicy. Leżał tak wyraźnie, a nikt go nie widział i nie podniósł.

Zupełnie jakby czekał na Kajtusia.

Tak samo z kredkami.

Całe nowe pudełko – i akurat wtedy, kiedy pan zapowiedział, że postawi na okres dwójkę, jeśli kredki nie będą mieli.

Niby nawet nie czar, a przecież nikt całego nowego pudełka nie zgubi.

Potem scyzoryk zginął Kajtusiowi. Zostawił go na ławce, a po pauzie nie było. Może kto zabrał, chociaż się pytał dyżurnego i chłopców.

A może znikł sam?

Znów nie wiadomo.

I jeszcze dwa czary udały się Kajtusiowi na ulicy. Bo raz dziewczynki w błoto wywalił. To tak było:

Idzie sobie, wraca ze szkoły zamyślony.

„Może dlatego nie udaje się na ulicy, że hałas: może za dużo ludzi – wyraźnie coś przeszkadza”.

Nie darmo czarodzieje mieszkali w basztach samotnych albo

w ostatniej na skraju wsi chacie. Może ukrywają się w lasach albo na dnie morza?

Sam czuje, że myśli najłatwiej mu się układają nad Wisłą, z dala od miasta, w spokoju; albo w ciszy wieczorem, kiedy leży w łóżku.

Tak sobie, wracając ze szkoły, rozmyśla i rozważa. A przed nim trzy dziewczynki.

Zajęły całą szerokość ulicy i śmieją się, popychają, dokazują i przejść nie dają. Gdyby to byli chłopcy, może by nawet nie zwrócił uwagi; a tak to bardziej zły jeszcze.

Deszcz pada.

„Chlapijcie w błoto!”

Już leżą. Wszystkie. Umazały się jak nieboskie stworzenia.

Niech mają. Niech się nie rozbijają.

Drugi raz przekupce jabłka rozsypał.

Znał ją. Od dawna, zawsze tu handlowała. Czasem u niej kupował.

Nie lubił jej, bo opryskliwa dla młodych. Ani obejrzeć nie pozwoli, ani wybrać, ani się potargować.

Zaraz:

– Bierzesz czy nie bierzesz? Idź do Żyda. Nie kupuj.

Prawda, że i chłopcy nieraz dokuczają.

Przechodzi Kajtuś z kolegą. Patrzy, a baba drzemie.

„Niech fajtnie”.

W ten mig – ona fajt!

Za kosz chwyciła, żeby się zatrzymać, i razem z koszem leży na ziemi.

Łobuzeria w śmiech.

– Babcia się urzęnęła.

Nie potłukła się nawet, ale zawstydyziła.

– Pierwszy raz w życiu. Jak jaka pijaczka. Ludzie się śmieją. Taki wstyd! Dwadzieścia lat handluję. Lato nie lato, zima nie zima. Pierwszy raz – taka hańba.

Mało się nie rozplacze.

Żal się Kajtusiowi zrobiło. Pożałował starą.

Kazał koledze pilnować, żeby kto jabłek nie ruszał, a sam zbiera rozsypane.

– Dziękuję ci, chłopczyno, dziękuję, kochanie. Masz, weź za dobroć jabłuszko.

I wtyka mu w rękę jabłko, ale robaczywe.

Kolega żartuje, a Kajtuś zły.

„Bardzo mi było potrzeba ze starą zaczynać?”

Aż doczekał się czaru, ale już stałego. Co wieczór się powtarzało. Pożytku nie tak znów wiele; ale ważny dowód, że siłę czarodziejską naprawdę Kajtuś posiada.

Zaczęło się późnym wieczorem.

W domu.

Wśród ciszy.

Leży Kajtuś w łóżku i zasnąć nie może.

Słyszcy oddechy śpiących rodziców i babci.

Nie boi się, ale przykro jednemu nie spać. Samotny czuje się człowiek w ciemności.

Nagle zaskrzypi podłoga, jakby ktoś chodził. Coś stuknie w szafie czy za szafą, jakby ktoś się skradał.

Aż nareszcie jeść mu się zachciało.

„Gdyby tak pod poduszką tabliczka czekolady albo coś innego”.

Nic więcej nie pomyślał. Jeżeli dodał jakiś wyraz, to chyba zapomniał.

I zaraz usłyszał szelest; jakby pod poduszką mysz zachrobotła.

Sięga ręką: jest!

Torebka. Nie od razu otworzył. Bo po co się śpieszyć? Tylko palcami namacał: zgaduje.

Aż śmiało klamerkę odgina.

Wysypał na rękę: dziewięć czekoladek nadziewanych, dziewięć rodzynek dużych i dziewięć migdałów.

Przeliczył. Jeść czy nie?

Spróbował.

Słodkie, smaczne. Nie różnią się od zwyczajnych, które sprzedają w sklepach.

– Dlaczego dziewięć?

Zjadł wszystkiego po osiem, a resztę obejrzy rano. Papier torebki wydał mu się sztywny.

Chce schować do kieszeni, bo pod poduszką się czekolada roztopi. Więc siada i sięga po spodnie. A krzesło stuknęło.

– To ty, Antoś? – obudziła się babcia.

– Ja.

– Dlaczego nie śpisz jeszcze?

– Spałem.

A rano nic w kieszeni nie było.

I tak co wieczór: czekoladki, rodzyнки, migdały.

Wypróbował, że nietrujące. Chce poczęstować. Zostawił trzy.

Mówi:

– Niech będą. Niech nie zginą.

I są. Nie zginęły. Częstuje.

– Skąd masz? – pyta się mama.

– Kolega dał.

– Jedz sam.

– Jadłem. Zęby mnie bołą.

Nieprzyjemnie kłamać; ale co robić.

Inny czar udał się i nie udał.

Bardzo chciał mieć zegarek.

Już wiele razy myślał, żeby zamiast torebki coś pożytecznego.

Ale bał się popsuć pośpiechem.

Aż doczekał się. Znów wszyscy spali.

Powiedział jakieś wyrazy egipskie czy arabskie. Powiedział zaklęcie i...

– Zamiast przysmaków niech będzie...

Zaraz znajomy szmer pod poduszką i ciche tykanie zegarka.

Słyszcy. Ręką sięga. Roześmiał się.

– O, jaki hojny.

I zegarek, i torebka też pod poduszką.

– Antoś, ty się śmiejesz?

– Ja. Takie śmieszne mi się przyśniło.

Babcia zadowolona, że nie jęczy ze snu, nie zgrzyta zębami.

Więcej nie pytała.

A rano zegarka nie było.

Próbuje i tak, i owak przez kilka wieczorów, ale już tylko słodycze.

A może lepiej się stało.

Bo widzi, że nic, więc uspokoił się i prędeż zasypia.

A bardzo, bardzo już był zmęczony.

W domu zauważyli, że Kajtuś posmutniał, zmizerniał.

Stracił apetyt. Mało się bawi na podwórku. I śpi niespokojnie.

Dawniej pałaszował, że no. Chleb nie chleb, ser nie ser – kluski, kartofle, pierogi.

– Gdzie się to jedzenie podziewa w chłopaku? Je dobrze, a suchy jak szczapa.

Czytał babci gazetę, grał z ojcem w warcaby. Teraz nie je, wymawia się od wszystkiego: że go głowa boli.

– Pewnie chory. Trzeba doktora.

Zaniepokoił się Kajtuś.

Co będzie, gdy doktor pozna, że jest czarodziejem? Doktor zna łacinę, może dlatego uczą ich łaciny, żeby zamawiali choroby

i odczyniali uroki martwym językiem<sup>37</sup>?

Ano: do doktora.

Opukał. Osłuchał. Obejrzał gardło. Kazał zęby leczyć u dentysty. Obejrzał oczy. Zważył. Powiedział, że blady, i krople zapisał. Powiedział, że Kajtuś rośnie.

Omylił się, nie poznał.

To trudne myśli nie dają Kajtusiowi spokoju, i jeść, i spać przeszkadzają.

No bo jest czarodziejem.

Długo nie wierzył. Teraz jest już pewien. Stało się, o czym marzył.

Ale trudny to zawód. Ciężki fach.

Niebezpieczne zajęcie.

Bo jeśli pomylić się w czym zwyczajnym, to<sup>38</sup> niewielka bieda: poprawić można. Ale pomylisz się w czarach, możesz życie stracić.

Przekonał o tym Kajtusia fatalny czar z tramwajem.

Idzie Kajtuś przez ulicę. Ano nic – idzie sobie.

Patrzy na numery tramwajowe. Ten numer parzysty, ten nie; ten dzieli się bez reszty przez pięć, ten nie.

Patrzy na ludzi, na sklepy. Pies przed bramą siedzi. Przystanął Kajtuś, cmoknął, pogłaskał psa.

---

<sup>37</sup> *martwy język* – mowa, która nie jest już używana na co dzień jako środek komunikacji. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> *toć* (daw., gw.) – przecież. [przypis edytorski]

Znów tramwaj w pełnym biegu.

Odwrocił się, żeby zobaczyć numer.

I nagle myśl:

„Chcę fiknąć kozła w powietrzu i stanąć na dachu tramwaju”.

Jakiś wiatr – moc – siła, coś go podrzuciło w górę. Już w powietrzu, głową na dół. Wyprostował się i stoi na dachu tramwaju.

Jakaś kobieta krzyknęła. Ktoś na balkonie podniósł ręce do góry. Pies zawył. Zawołał szofer:

– Trzymaj się, bo zlecisz!

Kajtuś zachwiał się i już ma chwycić za drut. I już w ostatniej chwili przypomina sobie, że w drucie jest prąd elektryczny o wysokim napięciu.

Jak piorun. Tak właśnie w Ameryce zabijają w więzieniach skazańców.

Pada Kajtuś. Potoczył się. W uszach zaszumiało. Ma spaść. Zdążył.

– Chcę fiknąć na ziemię!

Znów wywinął w powietrzu. Stoi na chodniku.

Gapie się cisną. Zbliża się policjant.

Uciekł.

Zasapany zatrzymał się dopiero na trzeciej ulicy.

Poprawił ubranie. Otarł krew chusteczką z podrapanej ręki.

Wyprostował się. Odetchnął głęboko – i zły, zbuntowany, cicho, ale wyraźnie powiedział:

– Rozkazuję, żeby mi się przez miesiąc żaden czar nie udał.

Wyjął z kieszeni lusterko, skrzywił się do siebie.  
I rzekł, głosem syczącym, do siebie:  
– Głupiec!

# Rozdział szósty

Przyjemniej bez czarów – Miesiąc upłynął – Do lasu –  
Zabłądził – Burza – Gorączka i maligna – W szpitalu

Idzie Kajtuś. Pogwizduje wesoło.

Tak mu lekko, jak dawno nie było.

– Pozbyłem się na miesiąc kłopotu, a tymczasem pomyśle i  
ułożę, żeby głupstw więcej nie robić.

Bo trzeba jakoś inaczej.

Wbiegł do mieszkania i mamę całuje. Nie raz, a bez końca.

– Dosyć, Antoś. Co to za czułości?

Do babci przyskoczył.

– Niech babcia ze mną zatańcuje.

– A tobie co znów do głowy strzeliło?

– Nic. Jeść mi się chce.

– Chcesz jeść, to nie tańcuj, a gadaj. Masz, jedz na zdrowie.

A wzięłeś lekarstwo, co doktor zapisał?

– Nie chcę. Po co? Zawracanie głowy.

– Nie grymas, Antoś. Widzisz przecie: poweselałeś i apetyt  
ci wrócił.

Zjadł.

Lekcji mało, więc wybiegł na podwórko.

– Myśleliśmy – mówią chłopcy – żeś już taki dumny.

– Wcale nie.

– A dlaczego nie przychodziłeś?

– Buty miałem dziurawe.

I pomyślał zaraz:

„Teraz będę więcej prawdę mówił”.

Zabawa pysznie się udała. Nikt ani razu nie przeszkodził.

A wieczorem rozmawiał przy herbacie. Grał z ojcem w warcaby.

Późnym wieczorem spać się położyli.

Z przyzwyczajenia sięgał pod poduszkę. Torebki nie było, a jeszcze go w palec ukłuło.

„Może wrzecziono?” – pomyślał, wysysając krew z palca; bo przypomniał sobie bajkę o śpiącej królewnie.

Ale nie na sto lat usnął, a na zwyczajne godziny. Obudził się rzeński. Żadnego śladu na palcu nie znalazł..

W drodze do szkoły postanowił zbadać, czy choć trochę siły magicznej posiada.

„Niech temu elegantowi urwą się guziki i portki opadną”.

Zaraz jeden guzik się urwał i po kamieniach potoczył.

„Niech policjantowi czapka sfrunie”.

Podskoczyła na głowie, ale nie spadła.

„Władza moja trwa i wróci za miesiąc”.

Wieczorem obliczył na kartce, ile mu się czarów udało – osobno w domu, w szkole, na ulicy. Osobno zapisał ważne i mniej ważne. Odrzucił czary wątpliwe.

– Nie warto nawet liczyć. Może mi się tylko zdawało?

Bo zapomniał, co wcześniej, co później. Nie pamiętał

dokładnie, jak było.

– Może czarodziej ma prawo wykonać dziewięć czarów albo siedem, albo trzynaście na miesiąc? Może czary udają się tylko w poniedziałki i piątki?

Szkoda, że nie zapisywał tajnymi znakami, żeby nikt nie zrozumiał, nawet jak znajdzie kartkę.

Mówią w bajkach, że czarodzieje mają uczniów. Pewnie, że tak łatwiej.

Ale Kajtuś sam już sobie poradzi.

Kiep<sup>39</sup> ten, co chce łatwo.

Właśnie ciekawe, co trudne!

– Nie od razu Kraków zbudowany, głosi przysłowie.

Nawet na stolarza i na inżyniera trzeba długo się uczyć, a sztuka czarnoksiężka trudniejsza od wszystkiego.

Toć wiele mu się udało, choć młody i niedoświadczony: choć sam, bez przewodnika.

Tak. Sam!

Bo kogo się poradzi?

Powie w tajemnicy koledze?

Na pewno kolega wypaple. Każe zrobić coś, a gdy się nie uda – wyśmieje i powie, że kłamstwo. Albo męczyć zacznie:

– Pokaż. Naucz...

Może powiedziec pani?

Ale pani nie wierzy; mówi, że nie ma czarów. Nie wie, że różę czarodziejską wachała.

---

<sup>39</sup> *kiep* (daw.) – człowiek głupi, nierozgarnięty. [przypis edytorski]

W domu powiedzieć?

Też nie. Albo nie uwierzą, albo zabronią, albo zaczną dyktować, co wolno. Zresztą, co poradzą, gdy sami nie wiedzą?

Nie.

Nie wolno zdradzić tajemnicy.

Ma czas. Cały miesiąc. Każdy czar sprawdzi osobno i wyciągnie z niego naukę na przyszłość.

Śniło się Kajtusiowi.

Śniło się, że siedzi w głębokim fotelu, krytym ceratą. Śniło się, że ma na głowie szpiczasty kapelusz alchemika i na szyi – krawat czerwony w zielone grochy. Że siedzi przy biurku. Na biurku czarny kot, sowa, trupia czaszka i to coś, co trzyma Kopernik na pomniku<sup>40</sup>.

I księgi. Grube, ciężkie księgi.

Bo widział Kajtuś na wystawie starą księgę w żółtej skórzanej oprawie z klamrą zamykaną.

Wstąpił do sklepu, żeby obejrzeć i o cenę zapytać. Ale nie chcieli wyjąć z wystawy i pokazać.

– To drogie. To nie dla ciebie.

(Pewnie pradziadek i dziadek mieli takie księgi).

Widział Kajtuś w księgarni książki tajemnicze:

---

<sup>40</sup> to coś, co trzyma Kopernik na pomniku – sfera armilarna, sferyczne astrolabium: dawny przyrząd astronomiczny złożony z wielu pierścieni, służący do wyznaczania współrzędnych obiektów na niebie; postać Mikołaja Kopernika na pomniku w Warszawie, znajdującym się u zbiegu ulic Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście, trzyma w lewej dłoni sferę armilarną, zaś w prawej cyrkiel. [przypis edytorski]

*Sennik egipski. Kabata*<sup>41</sup>.

*Potega woli*<sup>42</sup>. *Bosko czarnoksiężnik*<sup>43</sup>.

Nieciekawe. Tylko żeby pieniądze wyłudzić. Żeby ludzi tumanić.

Co byłaby za sztuka, gdyby każdy mógł kupić, przeczytać i wiedzieć?

Trzeba się nauczyć czynić mądre czary. Rozumne, pożyteczne – celowe.

Bo co?

Kłopot duży, a pożytku mało.

Scyzoryk mu zabrali. Zegarek znikł i więcej się nie pokazał.

Przez te dwa złote wtedy mało złodziejem go nie zrobili: tak przykro pani na niego spojrzała, tak nieufnie, tak podejrzliwie.

Za wyczarowane pieniądze raz jeden był w kinie; ale obraz akurat był nudny. Wyjść przed końcem szkoda, więc siedzi w ciemnej i śmierzdzącej sali jak głupi.

Tylko kredki zostały z całego kramu.

Teraz będzie inaczej.

Może Kajtuś nie miesiąc, ale cały rok czekać. Może nawet za młody, dlatego nie wie, jakie ma prawa, nie wie, co się uda, co

---

<sup>41</sup> *kabata* – tu: wróżenie z kart, z ręki, itp. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *Potega woli* – zapewne *Rozwój potęgi woli* autorstwa Wincentego Lutosławskiego, pierwszy polski podręcznik jogi. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *Bosko czarnoksiężnik* – książka opisująca sztuczki magiczne, inspirowana postacią sławnego włoskiego magika Bartolomeo Bosco (1793–1863), którego występy dostarczały rozrywki monarchom europejskim w I połowie XIX w. [przypis edytorski]

będzie.

W zeszłym roku pan kazał zasiać groch i fasolę, kazał notować, jakie zmiany zajdą w roślinach. Niecierpliwił się Kajtuś, że na każdą zmianę trzeba długo czekać. Bo chciał od razu kiełek, pączek, listek, korzonek, łodygę.

Potem inaczej: już zasiał sam dla siebie. I przyjemnie było wiedzieć z góry, co się jutro stanie.

Tak samo trzeba czary badać i zapisywać. I nie tylko czary.

Kupił dzienniczek.

Podpisał:

**Pamiętnik.**

Zapisał:

Wtorek. Była klasówka z rachunków. Udało się dobrze.  
Zrobiłem.

Jeden z pierwszych rozwiązał zadanie. I bez pomocy czarów.  
Tak nawet przyjemniej.

Zapisał:

Sobota. Zarobiłem czterdzieści groszy.

To tak było:

Idzie Kajtuś przez targ, a pani idzie z koszem.

Prosi:

– Pomóż. Zanieś ze mną do domu, jeżeli uradzisz.

– Fi, nie takie kosze nosiłem – pochwalił się Kajtuś.

A kosz ciężki.

Bierze. Niesie. Ręce mdleją.

– Czy jeszcze daleko?

– Nie. Tu zaraz.

Zaraz nie zaraz. Bez kosza byłoby może blisko, ale z ciężarem daleko.

Przystaje. Przekłada z ręki do ręki.

– Daj, pomogę – mówi pani.

– Nie trzeba – mruknął niechętnie.

Nosił nieraz za babcią, da radę i teraz.

Nareszcie. Chce odejść, myśli, że zwyczajna przysługa. A ona:

– Masz za fatygę na cukierki.

– Nie trzeba.

– Weź, bo mnie obrazisz. Należy ci się. Dziękuję za pomoc.

– Ha! – bierze czterdzieści groszy.

– Nie wydam. Zarobione. Schowam na pamiątkę.

I zadowolony, że własne, że wie, za co dostał, i wie, od kogo.

Zapisał w pamiętniku:

R. do mojej kr. – Kość. T. s. i. d. b.

Nikt nie zrozumie, nawet jeśli przeczyta. Sam tylko wie...

Bo Kajtuś chce mieć kryjówkę. Musi znaleźć miejsce samotne, tam będzie czarował z dala od ludzi.

Będzie miał słoiki z maścią gojącą i butelki z eliksirem życia.

Zamiast czaszki położy tymczasem kość – szczękę końską z białymi zębami.

Znalazł tę kość w piachu nad Wisłą i przyniósł do domu.

– Po co ci te butelki i kość – mówi babcia. – I tak dosyć masz śmieci.

– Przyda się – mówi Kajtuś niechętnie.

Dorośli myślą, że wszystko głupstwo, co ich nie obchodzi, i wszystko śmieci, czego nie można kupić i sprzedać.

Upłynęły dwa tygodnie. Potem Kajtuś zaczął się niecierpliwić. Bo jeśli każdy czeka na święta albo na imieniny, to cóż dopiero czarodziej na urlopie?

W dodatku zaczęło się źle powodzić i w domu, i w szkole.

Aż rozniewał się Kajtuś: na siebie i swój niemądry żart z tramwajem. A najbardziej na szkołę. Bo tak:

Był dyżurnym. Nie chciał wpuścić chłopców do klasy. Oni ciągną w dół klamkę, a on pcha do góry.

Cała kupa się za drzwiami zebrała.

Klamka żelazna przecie. Kto mógł przewidzieć? A tymczasem – trrach – złamała się.

Zaraz pan na niego:

– Znów zaczynasz swoje dawne sztuki? Psujesz, niszczysz. Patrz: ściany pochłapane, ławki pokrajane. W chlewie chcesz się uczyć?

Już tak jest, że gdy łobuz się uspokoi, a potem raz mu się nie powiedzie, zaraz wszystko razem się wali.

I za klamkę ojciec musi zapłacić, i na trzeciej przerwie pobił się z chłopakiem, i na lekcji dostał niesprawiedliwy stopień.

To do reszty go zirytowało. Bo co ma sprawowanie wspólnego

z nauką? Jeżeli umie, powinien mieć dobry stopień. Łobuz może się dobrze uczyć, a spokojny może być leniuch albo niezdolny. Po co się uczyć, jeżeli nie uszanują?

Akurat pani zachorowała, a pan posłał do ojca.

Ojciec miał wtedy swoje zgrzyoty, bo babcia chora i ojciec pracuje tylko trzy dni w tygodniu, więc zarobek lichej i z wypłatą zwlekają.

„Poczekajcie – odgraża się Kajtuś. – Niedługo kończy się miesiąc. Niech się dorwę do czarów, zaraz szkoła pofrunie do ludożerców, a pana zamienię w szczura i karmić będę dwójkami. Nasypię mu dwójek do miseczki i niech je – smacznego!”

Myślał, że ojciec bardzo się rozgniewa.

Ale nie: przygarnął Kajtusia, pocałował w głowę i tylko smutnie powiedział:

– Staraj się, Antoś. Wiem, że ci trudno.

Kajtuś zaraz zapisał w dzienniczku:

Moje postanowienia:

1. Nie żartować. Nie błaznować.
2. Nie bić się.
3. Nie latać z chłopakami.
4. Lekcje odrabiać.
5. Dużo czytać.

Czyta Kajtuś. W domu bieda. To babcia, to mama na zmianę słabują<sup>44</sup>.

Aż nadszedł ostatni dzień miesiąca.

---

<sup>44</sup> słabować (daw.) – chorować. [przypis edytorski]

Tak niespodzianie.

Jutro wróci mu władza. Od czego zacznie? Prócz butelek i słoików, wcale się nie przygotował.

Po pięciu lekcjach wrócił do domu. Nie jadł obiadu: dla ojca więcej zostanie.

Wyszedł nad Wisłę. Przeszedł most.

Dzień był parny.

Pojedzie za miasto.

Uczepił się z tyłu tramwaju. Pięć przystanków przejechał. Konduktor go zgonił.

Idzie. Potem tak samo, już innym tramwajem. Potem pieszo szosą – potem drogą polną i w lasek brzozowy.

Brzozy, brzozy – potem dęby, sosny i dęby.

Ani myśli, kiedy do domu. Idzie w las coraz głębiej. Jakby go kusilo.

Aż zmęczył się. Głodny. Usiadł. Położył się na trawie. Patrzy w niebo poprzez gałęzie. Rozpiął marynarkę.

Cisza.

Zasnął.

Zły miał sen: gonią go – ucieka, gazy trujące za nim puścili. Aż w gardle dusi. Głowa boli.

Zimno!

Otworzył oczy.

Rozgląda się, zdziwiony. Aha – w lesie. Patrzy w górę: wierzchołki drzew mocno się kołyszą. Złowrogi szum. Wiatr.

Ciemno.

Strzał. Nie strzał, a grzmot. I zaraz deszcz. Duże, ciężkie krople.

Znów: błyskawica i grzmot.

Burza. Burza w lesie.

Oprzytomniał.

Zerwał się i biegnie.

Do szosy. Do tramwaju.

Ale w którą stronę?

Nie wie.

Zabłądził.

Źle.

Biegnie. Ale dokąd? Wszystko jedno. Znów grzmot.

Czapka przemokła, z daszka ciurkiem leci. Ubranie cięży. W butach woda chlupie. A może to zasadzka? Tak właśnie Madej zbłąkany podpisał cyrograf<sup>45</sup>

---

<sup>45</sup> *cyrograf* – daw.: własnoręcznie podpisany dokument zawierający zobowiązanie; w baśniach i legendach: pisemna umowa z diabłem; dziś używane żartobliwie. [przypis edytorski]

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.